Cena 40 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ODNOWA

TYGODNIK

6 Grudzień 1936 r. Niedziela Nr. 15

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6.97-99.

TREŚĆ NUMERU: W. W. Sprawa chłopska. — *Ryszard Świętochowski.* Barometr społeczny. — *Tot.* Raptularz tygodniowy. — *A. Z.* Studja naddunajskie. — Kronika zagraniczna. — *Prof. Stefan Glixelli.* Możliwość współpracy uniwersyteckiej polsko-rumuńskiej. — *Cyrano.* Preteksty. — *Zdzisław Kleszczyński.* W prerji. — *Adam Ordęga.* Koncepcje ideologiczne reformatorów szkolnictwa. — (K.) Przypomnienia. — Z 7 dni. — *Jan Bezłaski.* Upowszechnienie własności. — P. Nowy teatrzyk satyryczny: 13 rzędów. — *bon.* Hans Sachs i Senta. — *A. W.* Przegląd prasy krajowej. — *A. Z.* Książki nadesłane. — *Azet.* Z prasy zagranicznej.

W. W.

Sprawa chłopska

Zagadnienie chłopskie stało się od pewnego czasu palące. O chłopach, o ich liczbie, o doli chłopskiej, o wartości i znaczeniu ludu przypomniano sobie zarówno w Polsce, jak i wszędzie na szerokim świecie. W niektórych krajach przystąpiono do zagadnienia poważnie, bądź rozwiązując je całkowicie, bądź też stwarzając warunki do rozwiązania pozytywnego. Gdzieindziej natomiast zainteresowanie powstało ze względów raczej taktycznych, raczej potrzeby doraźnej.

Zresztą, nie wszędzie sprawa chłopska jednako się przedstawia. Są kraje, w których chłopi stanowią przewagę, nie brak takich, gdzie są mniejszością. Ale wszędzie jedno jest pewne. Bez względu na to, w jakiej znajdują się liczbie, powszechnie i niezmiennie stanowią cenny i najbardziej pewny element państwowy, jako żywiciele kraju i jego obrońcy.

Jeśli chłopi byli dawniej materjałem, którym dowolnie rozporządzali różni ich panowie, pomimo nawet praw, jakie teorytycznie lud posiadał, to teraz staje się to coraz mniej możliwem. Nietylko datego, że chłopi już nie daliby się do tej roli nagiąć, ale również dlatego, że takie postawienie sprawy stałoby w rażącej sprzeczności z interesem państwowym i narodowym.

Przez długi czas mogło się wydawać, że chłopi nie odgrywają bezpośrednio poważniejszej roli, rozpływając się w przemyśle i zasilając gwałtowny rozwój miast. Lata powojenne przyniosły pod tym względem poprawę wysoce znamienną, gdyż na chłopów i na rolnictwo zwrócono baczną uwagę, mając na uwadze materjał bojowy i samowystarczalność państwową. Chłopi także zaczęli o sobie więcej myśleć i na widownię polityczną się wysuwać. Ewolucja pojęć i jednoczesna ewolucja warunków zaznaczyły się wyraźnie.

Potwierdzają to przykłady. Chłopi bułgarscy, prowadzeni przez Stambulińskiego, nietylko, że odegrali bardzo poważną rolę tuż po ukończeniu wojny, ale stali się w ogólnem życiu państwowem czynnikiem pierwszorzędnego znaczenia. Stanowisko to utracili później skutkiem nieopatrzności swego wodza. Chłopi czescy, mimo mniejszości, jaką stanowią w państwie, nietylko że posiadają wszelkie prawa, ale ponadto są siłą, bez której nic w tem państwie dziać się nie może. Nikomu też na myśl nie przyjdzie, aby ich krzywdzić lub do roli czyjegoś narzędzia poniżać. Należy także wspomnieć o przykładzie wręcz przeciwnym, jaki ma miejsce na Węgrzech. gdzie chłopi dotychczas są upośledzeni pod każdym względem, nie wiele mniej, niż przed wiekami. Jednakże ten stan rzeczy zaczyna niepokoić polityków węgierskich, należących do klas uprzywilejowanych, bo uświadamiają sobie, że trudno wykrzesać u chłopów miłość dla państwa, które im nic nie daje poza ciężarami i pracą na innych.

Tak jest w sąsiedztwach. A jak u nas?

Można się w polityce sentymentem nie krępować, a więc i na chłopa nie oglądać, o nic go nie pytać, o sprawiedliwości nie myśleć. Można go poza prawo wyrzucić, nędzarzem uczynić, wrota szkolne przed nim zamknąć, do posłuszeństwa zmusić, a nawet narzędziem zrobić. To wszystko można, ale bez myśli o przyszłości i w stosunku do tych, którzy o swoją godność mało, albo nic nie dbają. Że na szczęście takich w Polsce jest niewielu, przekonali się dotkliwie praktykanci niegodziwych metod na wsi.

Czy zaślepienie pozwoli im prawdę rzeczywistości dojrzeć i wreszcie dobro państwa nad interes kliki przenieść, tego nie mogę dociekać w chwili obecnej. Mogę jednak wyrazić przekonanie, że jeśli nadejdzie próba dziejowa, na którą Polska może być narażona w niedalekiej przyszłości, to próbę wytrzymają nie najemcy lub niewolnicy, lecz obywatele wolni i świadomi. A chłopi trzy czwarte narodu stanowią.

Sprawa jest tak wielkiej wagi, że należy ją z brutalną jasnością postawić, bez wszelkiej fantazji oraz chwytów przez sanację stosowanych.

Przedewszystkiem trzeba się pogodzić z tym faktem, że dzisiejsza wieś polska to już wcale inna, niepodobna do dawnej ciemnej i spokojnej, zastraszonej i nieporadnej. Że piosenka o wspólnym idyllicznym pochodzie skrzydzonych.chłopów łącznie z ich krzywdzicielami jest wielką utopją. Trzeba zrozumieć,

że odbieranie praw chłopu odrywa go od państwa, spycha do roli narzędzia, oddaje w ręce najmniej powołanych żywiołów. Nie masz tu pociechy, że chłop nie pójdzie z komunistami, bo gdyby nawet tak było, to jednak może się stać obojętny na losy państwa, a to już stanowiłoby grozę największej miary.

Niedość na tem. Jakże mają myśleć masy chłopskie wśród nędzy, jak osądzać ujawniony dorobek moralny ostatnich lat? Jak mają oceniać pośredników i licytantów na sumienia, którzy podsuwają chłopom tranzakcje handlowe z kupczeniem swobodą obywatelską?? I to wtedy, gdy setki tysięcy w Nowosielcach a miljony w dniu Czynu Chłopskiego 15 sierpnia zamanifestowało swą wolę, domagając się powrotu prawa dla wszystkich i oświadczając gotowość obrony państwa bez żadnej materjalnej zapłaty. Czy w takich warunkach chłopi mają nie doceniać faktów, należytych wniosków nie wyciągnąć, zmian nie wymagać?

Szukanie pomiędzy chłopami zdrajców ich sprawy oraz próby opierania przyszłości państwa na tych elementach, które ruch ludowy wyrzucił poza swoje ramy, jest jeno smutnym dowodem małostkowości, chęci panowania za wszelką cenę i podporządkowania swoim interesom tych, którzy jako równouprawnieni obywatele, mogą i powinni służyć tylko państwu.

Kto o przyszłości Polski myśli naprawdę bez wszelkich ubocznych a ukrytych zamiarów, ten musi się z tą prawdą pogodzić, że nie można przyszłości opierać ani na wyrzutkach, ani na jednostkach pozbawionych przekonań, sumienia i woli. Można ją oprzeć tylko na całym narodzie, a w pierwszym rzędzie na tych, którzy niedość, że w nim większość stanowią, lecz ponadto posiadają nikim i niczem niezastąpione wartości.

Nie trzeba więc wyszukiwać leków cudownych, ani sztuk kuglarskich stosować, bo sprawa przedstawia się jasno i prosto, uczciwym i prostym rachunkiem poparta. Trzeba robić wszystko, aby masy chłopskie jak najsilniej z państwem związać. Trzeba tedy usunąć wszystkich i wszystko, co stoi temu na przeszkodzie. Masy ludowe muszą być wolne, aby mogły należycie ocenić wolność Ojczyzny. Kto tego nie pragnie lub nie rozumie, powinien ustąpić, albo będzie musiał ustąpić.

RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI.

Barometr społeczny

Czy wszystko wiemy o zamieszkach na uniwersytetach? Nie. Czy wszystko możemy napisać jasno? Nie.

Dla publicystyki politycznej wyłania się trudność, w jaki sposób wykryć prawdę, a potem jak ją ocenić, licząc na domyślność czytelników. Do świadomości ogółu dochodzi jeszcze mniej, bo zaledwie strzępy meldunków prasowych. W rezultacie niema ufundowanej opinji o zjawisku jeśli nie wielkiem, to w każdym razie wysoce znamiennem. Natomiast są szepty, są plotki. Mgła tajemnicy znowu zasnuła rzeczywistość, stwarzając atmosferę niepokoju ogólnego, uniemożliwiającego wskazanie zła, jeśli ono było i poszukiwanie środków zaradczych, jeśli one jeszcze istnieją.

W Warszawie zaczęło się od sprawy drobnej, familijnej, od różnicy poglądów na chwilę odpowiednią do wywołania zamieszek z powodu kwestji żydowskiej. Jedni chcieli urządzić demonstrację antysemicką zaraz, drudzy później; jedni chcieli stworzyć precedensy, drudzy, jakoby, dążyli do zamieszek jednoczesnych w całym kraju. Rozdzieliła ich zatem nie zasada, lecz taktyka wykonania.

Dołączenie do tych żądań jeszcze dodatkowych postulatów (amnestja, wysokie opłaty, stypendja i t. d.) nie zmieniło istoty sprawy: fermentu antysemickiego. Determinacja zamkniętej w uniwersytecie młodzieży miała pozory dużego napięcia. Oczywiście, opór złamał się natychmiast pod naciskiem siły państwowej, kiedy policja wkroczyła z bombami gazowemi, z hydrantami i t. p. Na terenie zajść pozostały zniszczone okna, drzwi, meble, a nawet akta uniwersyteckie. Później nastąpiły aresztowania. Później wdrożono śledztwa.

Tyle wiadomości dostarczają relacje ogłoszone. Prawie każdą informację możnaby opatrzyć znakiem zapytania, a przedewszystkiem ich całość. Wieloletnia bierność młodzieży wobec faktów dotkliwych, jak to miało miejsce chociażby za czasów „jędrzejewiczowskich", nie pozwala na snucie wniosków, że dzisiejsze warunki — o ileż lepsze, kulturalniejsze, wyrozumialsze — nagle wywołały rozdrażnienie nieopanowane. Miałoż-by polepszenie doli akademickiej zmienić uległość niezwykłą na ferment niezwykły? Niema ku temu powodów objektywnych.

Niema także wytłomaczenia dostatecznego w niesnaskach pomiędzy młodzieżą narodowo-demokratyczną i narodowo - radykalną w jej siedmiu, czy iluś tam, warjantach. Trudno zrozumieć, aby termin demonstracji antysemickiej decydował o walce zaciekłej. Rozbieżność taktyczna ni stąd ni zowąd zamieniła aljantów na wrogów. Demonstranci spotkali się z koalicją prawdopodobnie zupełnie dla nich nieoczekiwaną. Ulegli. Ale po porażce musiało im pozostać albo zdumienie, albo świadomość dziwnych przekształceń ideowych w obozie przeciwnym.

Wreszcie sama istota sprawy — antysemityzm. Niewątpliwie jest to zjawisko trwałe i rozpowszechnione. Tej rany narodowościowej niepodobna już przykryć plastrem frazesu. Dostrzega ją rząd, wszystkie partje, wszyscy działacze społeczni, nawet sami Żydzi. Inna kwestja, jakie metody leczenia są wskazywane, poczynając od chirurgji nacjonalistycznej, a kończąc na homeopatji żydowskiej. Ale dotychczas nie zdarzało się, aby sprawa antysemicka przybierała postać antyrządową. Tymczasem w danym wypadku był jakiś opór, jakieś barykady, jakieś kamienie.. Wyglądałoby na to, że kwestja lewej strony sali dla żydów wyrosła nagle do rozmiarów olbrzymich, że jest nadrzędna dla młodzieży, która ryzykuje wszystko. Prawie rewolucja o — siedzenia żydowskie. Czyż to możliwe?

Wprawdzie nie znamy i teraz nie poznamy genezy rozruchów oraz szczegółów pacyfikacji, jednak nasuwa się wytłomaczenie syntetyczne, obejmujące to i wiele innych wydarzeń w kraju. Zamieszki akademickie same w sobie, w oderwaniu od współrzędnych zjawisk, są zagadką. Ale te same zamieszki, wplecione w bieg wypadków ogólnych, nabierają logiki swoistej, wypełniają lukę w całkowitym obrazie rzeczywistości polskiej.

Młodzież nazywano wielokrotnie barometrem społecznym. Rewolucje barometryczne byłyby niezrozumiałe i bezprzyczynowe, gdyby ich nie związać z ciśnieniem ogólnem w atmosferze. A jakie jest ciśnienie na wsi? A jakie po miastach? Gdzie jest zadowolenie i spokój? Czy nawet warstwy elitarne, rządzące, nie wskazują raz po raz na trudności spiętrzone, na brak zaufania, na potrzebę wydobycia i organizacji tego zaufania? Czy nawet ta nikła, bagatelna komórka społeczna, jaką jest obecny sejm, nie przejawiała także swoich lilipucich niezadowoleń? Czy wśród rolnictwa niema napięć groźnych? Czy przemysł nie woła coraz głośniej o ucisku? Czy robotnicy nie są chmurą naelektryzowaną niepokojem? Czy nie było wyładowań gwałtownych, burz lokalnych w bardzo wielu miejscowościach Rzeczpospolitej? Czy to pierwszy wypadek „pacyfikacji", po której zapada martwa cisza? Więc po tych wszystkich przykładach, które można przytoczyć i których nie można przytoczyć, mamy obarczać młodzież odpowiedzialnością, że spełniła rolę — barometru?

Powiedzmy jasno: nie zgadzamy się na formę realizacji zamierzeń młodzieży. Ale jednocześnie dostrzegamy przyczyny ważkie, okoliczności łagodzące, czynniki emocjonalne i wpływy podświadome. Przypomnijmy sobie także fakt historyczny, że uniwersytet warszawski w latach strasznego podniecenia 1862 — 1869 miał ukochanego przez całą młodzież rektora Józefa Mianowskiego, któremu wystarczało powiedzieć do studentów: „Moi drodzy, zróbcie to dla mnie...". A później powstała z ofiar prywatnych kasa im. Mianowskiego, po dziś dzień pożyteczna, szanowana, wielka. Czy jest do pomyślenia, aby była kiedykolwiek kasa imienia prof. Antoniewicza, który tak wydajnie i gorliwie popierał działalność pp. Jędrzejewiczów?

Jeśli uznajemy społeczność ludzką, to uznajmy także społeczność zjawisk. Wiążą się one z sobą, tworzą nieprzerwany łańcuch, w którym każde ogniwo jest jednocześnie przyczyną i skutkiem. Prawie przez dziesięć lat Polska przyglądała się biernie eksperymentowi sanacyjnemu; bierną była i młodzież. W ostatnich czasach dostrzeżono zarówno ze szczytów władzy państwowej, jak i z nizin obywatelskich, że eksperyment zawiódł, więc zawrzało; zawrzała także i młodzież.

Co się zaś tyczy sprawiedliwości, obrazy porządku publicznego, formy... Tak, są to sprawy nader ważne w warunkach zwykłych. Jeśli jednak w warunkach niezwykłych, w chwilach cierpienia, rozpaczy, przestrachu, nieszczęścia wyrwie się ze ściśniętej krtani okrzyk „ach"!, to nie szukajmy sensu w tych trzech literach. Ale można go się domyśleć.

Tylko drogą takiego rozumowania dają się wyjaśnić wypadki na wyższych uczelniach, wypadki bolesne i szkodliwe.

A. Z.

Studja Naddunajskie

(Korespondencja własna).

I.

Europa naddunajska stanowiła niewątpliwie tę część kontynentu, na której utrzymała się przez czas najdłuższy sytuacja potraktatowa w niewielkiej tylko mierze zmodyfikowana. Jeżeli jednak jesteśmy dziś świadkami coraz to poważniejszych dokonywujących się tam przesunięć, to przyczyn tego trzeba się doszukiwać nietylko i wyłącznie w ostatnich zmianach położenia międzynarodowego, wywołanych przez dozbrojenie się Niemiec i obsadzenie Nadrenji, ale daleko głębiej wstecz.

Stróżem wspomnianej wyżej potraktatowej sytuacji była, jak wiadomo, mała ententa, wsparta o dyplomatyczną a ewentualnie i militarną pomoc Francji. Skierowana ona była przeciw wyolbrzymianemu niewątpliwie co do swego praktycznego znaczenia rewizjonizmowi węgierskiemu. Że zaś naprawdę przez długi czas nikomu w Europie na realizacji tego rewizjonizmu nie zależało, przeto utrzymanie status quo nie było trudne. Rzecz zmieniła się radykalnie z chwilą, gdy punctum saliens sytuacji naddunajskiej, przeniosło się z Budapesztu do Wiednia. Stało się to w pamiętnej chwili projektu niedoszłej unji celnej austro-niemieckiej, wyraźnej zapowiedzi przejścia Niemiec do praktyki realizacji „Anschlussu". Była to niespodzianka zarówno dla Paryża jak i dla jego informatorów, liczących na swe ówczesne wpływy wśród lewicy austrjackiej. Arystydes Briand byłby mógł na ten temat niejedno powiedzieć.

Ta radykalna zmiana nie leżała bynajmniej w bezpośredniości niebezpieczeństwa „Anschlussu", które się zresztą jeszcze wówczas samej prawie Francji udało rychło zażegnać. Leżała ona w czem innem. Oto okazało się, że cała konstrukcja „potraktatowa", wycelowana przez małą ententę w Węgry w dużej mierze skierowana jest w próżnię, a w każdym razie nie jest skierowana w istotne i bezpośrednie niebezpieczeństwo i to obchodzące całą Europę. Podczas bowiem gdy walka o takie czy inne granice Węgier, dotycząca głównie ich sąsiadów, mało wywoływała prawdziwego zainteresowania wśród mocarstw, sprawa austrjacka zainteresowała wszystkich. Oznaczała ona bowiem przedmiot, dotyczący Włoch na granicy Alp, Anglji na morzu Śródziemnem, Francji w stosunku do jej sprzymierzeńców, nie mówiąc już o faktycznem w porównaniu nawet z r. 1914 zwiększeniu terytorjalnej potęgi Niemiec. Dalsza bardzo doniosła zmiana wynikła ze zmiany stanowiska Włoch. Ich przyjazne stosunki z Węgrami, traktowane dotąd przez dyplomację europejską jako środek trzymania w szachu małej ententy, stały się podstawą do budowy bloku naddunajskiego, w którym kluczem sklepienia stał się teraz Wiedeń. Milcząco godzono się na ekspansję polityczną włoską w Austrji, widząc we Włoszech czynnik nietylko mocno zainteresowany w tem, by Austrja nie została przyłączona do Niemiec, ale najbardziej kwalifikowany po temu, by się ewentualnemu zamachowi z miejsca przeciwstawić. Dodajemy do tego ciche rachuby Paryża i Londynu, że im bardziej Włochy zaangażują się w sprawie austrjackiej, tem trudniejsze będzie ich współdziałanie z Niemcami, lub — na co liczono zwłaszcza w Londynie — podjęcie akcji kolonjalnej.

Włochy bardzo gruntownie zajęły się sprawą austrjacką. W oparciu o nie dokonała się przebudowa ustrojowa Austrji i wskrzeszenie tradycji austrjackiej, jako podstaw niezależności w stosunku do Niemiec. Ukoronowaniem tych zmian było stworzenie bloku rzymskiego, a bagnety postawione przez Włochy w momencie zamachu 1934 r. na straży i niezawisłości Austrji stały się najwymowniejszem stwierdzeniem, kto właściwie decyduje o losach Europy naddunajskiej. Że wszystko to łączyło się nieustannem cofaniem się wpływu francuskiego, to nie mogło ulegać wątpliwości. Stworzenie frontu Stresy maskowało na krótki czas tę zmianę, która wystąpiła w całej pełni, gdy front Stresy pękł pod wpływem wypadków abisyńskich.

Fakt, że Niemcy, mniejsza o to z jakich powodów, nie wyzyskały tej sposobności dla swoich celów, jeszcze bardziej wzmocnił pozycję Włoch. Obsadzenie przez Niemcy strefy zdemilitaryzowanej nad Renem odsunęło rzecz prosta Francję od jej naddunajskich sprzymierzeńców, podkopując jednocześnie koncepcję oparcia się o rosyjskiego sprzymierzeńca Francji. Rysująca się na horyzoncie od lata b. r. „oś" polityczna Berlin — Wiedeń — Rzym i tu nie pozostała bez wpływu.

II.

Takie są w ogólnym zarysie historyczne antecedencje obecnej sytuacji naddunajskiej. Charakteryzują ją obecnie z jednej strony coraz silniejsza konsolidacja państw bloku rzymskiego pod kierownictwem Włoch, i szukanie nowych dróg przez państwa małej ententy. Zacznijmy od pierwszej grupy i od realnej jakoby osi Berlin — Rzym. Ostatnia konferencja wiedeńska państw bloku rzymskiego raz jeszcze potwierdziła słuszność opinji, że niemiecka polityka Mussoliniego jest niczem innem, jak tylko taktyką, mającą na celu zdobycie pewnych pozycyj u mocarstw zachodnich. Nadzieje Anglji, oparte na niemożliwości pogodzenia się Niemiec i Włoch na punkcie Austrji, doznały zawodu. Berlin, dla którego każdy wyłom w izolacji jest dobry, poszedł na lipcową ugodę z Austrją, istotnie z Włochami, które forsowały ją tak długo, póki w Londynie nie zdecydowano się ostatecznie na kompromis z Włochami. Jeżeli się porówna sytuację przed i podczas konferencji

Raptularz tygodniowy

(mowa premjera — dla niepalących — brak informacyj).

Obrady sejmu otworzył generał Składkowski mową, pełną akcentów optymistycznych, utrzymaną w tonie lekkim i naturalnym. Premjer cytował szereg faktów, które go nastroiły optymistycznie i wymienił je w porządku następującym: 1) wstąpienie 1.000 stypendystów do gimnazjów państwowych, 2) rozszerzenie nacisku podatkowego także na te źródła, z których dotąd pieniędzy nie było, 3) utrzymanie waluty.

Była to, jak widzimy choćby z tego wstępnego zestawienia, mowa administracyjna, a nie polityczna. Premjer wylicza fakty, które uważa za dodatnie, a które niewątpliwie należą do dziedziny sprawnego administrowania państwem, a nie do jego polityki. Ktoby się nie cieszył z dzieci wiejskich w szkole, z większego wpływu podatków, nie mówiąc już o utrzymaniu kursu waluty? Lecz rząd, wykazujący się temi właśnie sukcesami, pośrednio mówi, że innych niema — może ich nawet nie szuka.

Pan premjer „zadowolony" jest z zebrania się izb ustawodawczych, wita ich sesję „z radością", jak powiedział na wstępie. I zapewnia zebranych, że przygotował dla nich — ważne ustawy, mogą je uchwalać. Oczywiście mogłoby być inaczej, rząd miał przecież pełnomocnictwa, ale nie chciał... Nie! Przeciwnie. Zachęca posłów i senatorów do pracy i rzeczowej krytyki i z góry zapewnia o swej dobrej woli. Ależ i owszem, jak najwięcej krytykujcie. W tym tonie słyszy się zarówno dużo pobłażania jak i pewności siebie.

Bo przecież sejm w tej postaci żyje z łaski rządu i mógłby być karmiony samemi — plotkami. Taka sytuacja nazywa się nienaturalną, bo albo jakaś instytucja ma swoje uprawnienia, albo ich niema. Uprawnienia zaś z wypowiedzeniem nie przynoszą żadnej zbiorowości pożytku. Od tylu lat toczy się cicha, ale przejmująca dyskusja na ten temat. Pan premjer Składkowski zawsze zapewniał o swej umiejętności widzenia rzeczy takiemi, jakiemi są. A tego nie widzi? Cóż mu może powiedzieć, co mu może uchwalić sejm czy senat, poczęty z obecnej ordynacji wyborczej? Powtórzy mu jego własną mowę w nowej redakcji, może jeszcze serdeczniejszej. Ludzie znaczą czasem wiele, ale znacznie więcej stanowią ustawy.

* * *

Ta część sfer rządowych, która zalicza siebie do zachowawców, bardzo jest niezadowolona z działalności ministra rolnictwa p. Poniatowskiego. Nie dziwimy się temu bynajmniej.

P. Poniatowski korzystał z dogodnej sposobności, aby zlikwidować większą własność, wierny tej starej doktrynie, która głosi, że jeśli nie można dać wszystkim dobrobytu, to trzeba, aby wszyscy byli równymi sobie biedakami. Ten wzruszający pogląd nie wymaga żadnego konkretnego programu działania, ani nawet znajomości ustroju rolniczego. Realizuje się automatycznie. Konserwatyści mniemają, że wystarczy, jeśli zdołają zahamować p. Poniatowskiego, a za największy sukces uważaliby jego dymisję w towarzystwie głównego etatysty p. Loreta, który zdążył z polskich lasów uczynić główny artykuł eksportowy. No i zapowiada się t. zw. opozycję. Ale trzymamy zakład, że gdyby się nadarzyła mała rozmówka w korytarzu, opozycja by odetchnęła, nie potrzebowałaby robić opozycji... Wina i odpowiedzialność tych panów polega na tem, że dokładnie znają sytuację, jej niebezpieczeństwo i najbliższe konsekwencje, ale po staremu uznają tylko typowy interes klasowy. Lekarstwo na Poniatowskiego znalazłoby się nie w opozycji (zresztą jakże wątłej i nieważnej) przeciw jednemu ministrowi, ale w jasnym ataku na rząd, który przecież jest zbiorowo odpowiedzialny. Ale kto toleruje, ba, co więcej, popiera zniszczenie samorządów, autonomji szkolnictwa, wszystkiego po kolei aż do... symbolicznej resursy obywatelskiej, ten oczywiście i siebie samego obronić nie potrafi. Dziwna to myśl państwowa, która pozwala na wszystko w stosunku do innych, a gdy maszyna dyktatury w pełnym pędzie poczyna i ich dokuczać, wtedy chce się ją zatrzymać. Przypomina się anegdota o lękliwych pasażerach pociągu, który znalazłszy się na ślepym torze, lada chwila mógł się rozbić lub przynajmniej gwałtownie zostać zahamowanym — a ci zabiegają wciąż u konduktorów o — przedział dla niepalących. Reszta pociągu panów nie obchodzi.

* * *

Możnaby się sprzeczać, czy ustawy o zebraniach publicznych i o zwalczaniu t. zw. akcji wywrotowej nie są zanadto ostre, choć potrzeby ich nikt negować nie może. Ale nikt także nie może twierdzić, że nie są wystarczające, że porządna administracja przy ich pomocy nie potrafi utrzymać porządku i posłuchu. Więc co mają oznaczać przekroczenia tych ustaw przez administrację i policję? Czy nie są nie tylko bezprawiem, ale próbą wpajania w obywateli niebezpiecznego poglądu, że stosunki pomiędzy nimi a państwem reguluje nie prawo lecz siła?

Ani ministrestwo spraw wewnętrznych, ani komenda policji państwowej nie ogłosiły wyjaśnienia, dlaczego p. Marjan Czuchnowski był w kajdankach transportowany do powiatowego więzienia. Jeśli zachodziła już zdaniem policji konieczność aresztowania, to w każdym razie nie było potrzeby do takiej ponurej inscenizacji „środka zapobiegawczego". Generał Zamorski, głównodowodzący policji, ogłosił przed kilku dniami list, w którym oznajmił, że obecność przy likwidacji rozruchów nie leży w jego przyzwyczajeniach. Czy informacje o działaniach jego podkomendnych na prowincji także nie należą do przyzwyczajeń Głównego Komendanta?

Tot.

wiedeńskiej, to można całkiem wyraźnie określić moment, w którym oś Rzym — Berlin zaczęła się przekształcać na oś Rzym — Londyn. By nie utrudniać rozmów austrjacko-włoskich cofnięto się przed wszelkiemi decyzjami. Choć nie znaczy to bynajmniej, że można je będzie odwlekać ad calendas graecas.

Według poglądów miarodajnych w Rzymie coraz szybszemi krokami zbliża się moment, w którym trzeba będzie choć w części spełnić nadzieje Wiednia i Budapesztu. Przy całej wartości, jaką ma dla Austrji oparcie się o Włochy, doprowadzenie do sytuacji, w której-by się Austrja miała bić po stronie włoskiej przeciw Niemcom, byłoby zbyt ryzykowne. Trzeba dać Austrji oparcie wewnętrzne, którem dziś może być tylko restauracja Habsburgów. Nie trudno przewidzieć jej trudności i konsekwencyj. Ale nie mniej i to trzeba sobie powiedzieć, że dzień, w którym się okaże, iż restauracja Habsburgów została definitywnie skreślona z listy możliwości politycznych, będzie dniem decyzji Austrji za przyłączeniem się do Niemiec, choćby nie wiadomo jak demonstrować przyjaźń włosko-austrjacką.

Pozostaje jeszcze kwestja Węgier, w których śmierć Gömbösa oznacza najważniejszą zmianę polityczną, jaka tam zaszła od nieudałych prób powrotu na tron króla Karola. Przez cztery lata pracował Gömbös, żeby przerobić Węgry na państwo totalne, a sobie stworzyć stanowisko „Führera". Nie zaniedbano w tym czasie żadnego z wypróbowanych środków, by utorować drogę monopartji. Wywołało to bardzo mocną reakcję społeczeństwa, która faktycznie odniosła zwycięstwo nad planami Gömbösa jeszcze przed jego śmiercią, zamykającą definitywnie jej szanse. Powody tego tkwią przedewszystkiem w wyrobieniu politycznem narodu węgierskiego i jego wielowiekowej tradycji parlamentarnej oraz mocnem poczuciu prawa; sądy węgierskie zdobyły sobie chlubną kartę w tym okresie. Polityka Gömbösa mimo hałaśliwego akcentowania rewizjonizmu była właściwie nietylko całkiem nie groźna dla sąsiadów, ale nawet dla nich pożądana. Praktycznie rzecz nie posuwała się naprzód, znane wrogie Habsburgom stanowisko Gömbösa zabezpieczało ich przed restauracją, a hałas rewizjonistyczny, robiony więcej dla odwrócenia uwagi własnego społeczeństwa od formowania dyktatury i monopartji, był raczej na rękę przeciwnikom Węgier. Dziś Węgry są na drodze do normalnych stosunków konstytucyjnych, do wprowadzenia powszechnego głosowania i koniec końcem — choć może nie tak rychło jak się mówi — do restauracji Habsburgów; wbrew wszystkim pozorom i pogłoskom rządy Gömbösa wzmogły mimowoli niechęć do Niemiec. W każdym razie zdeklarowanie się ze strony niemieckiej po mowie Mussoliniego, odcinające się od rewizjonizmu węgierskiego, jest charakterystyczne.

Jakże wygląda sytuacja po drugiej stronie barjery, u małej ententy? Tezą, jaka, bodaj pod wpływem Belgradu, dominuje teraz w polityce Jugosławji i Rumunji, jest dążenie do uniknięcia zaangażowania w zatargach wielkich mocarstw, przedewszystkiem Niemiec i Rosji. Idzie za nią dążenie odciągnięcia Czechosłowacji od związku z Rosją, mającego zrobić z Europy naddunajskiej teren zapasów niemiecko - rosyjskich, w których szczerze mówiąc nikt nie ma chęci brać udziału. Usiłowania, które w warunkach obecnych nie są pozbawione całkowicie widoków powodzenia. Powstaje jednak kwestja, co dać Czechosłowacji wzamian za pomoc rosyjską. Porozumienie z Niemcami. Rzecz bardzo ryzykowna. Porozumienie z Austrją i Węgrami. Rzecz bardzo trudna do zrealizowania. Z półoficjalnej strony francuskiej rzucono w ostatnich dniach państwom małej ententy zadanie, że jeśli chcą liczyć na pomoc Francji, umowy swe uzupełniały w tym kierunku, by zobowiązywały je do pomocy przeciw każdemu przeciwnikowi. Słowem nietylko przeciw Węgrom, ale dajmy na to Niemcom czy Włochom.

Jest to, zdaje się, koncepcja — przynajmnie jpraktycznie — naznadziejna, uwidoczniająca defakt zasadniczy małej ententy, o którym mówiliśmy na początku [1]).

Z tego obrazu sytuacji naddunajskiej wynikać się zdaje tylko jeden pewnik. Oto że blok rzymski ma swój program i nie kryje się z chęcią realizowania go krok po kroku. Najbliższym ma być zdobycie uznania równouprawnienia Węgier w dziedzinie zbrojeń. Druga strona ma wprawdzie program, t. j. utrzymanie status quo, ale jest dopiero na drodze szukania nowych środków, któreby ją zabezpieczyły, bo dotychczasowe zawodzą.

[1]) Pomimo analizy subtelnej i głębokiej stosunków naddunajskich, jaką podajemy w powyższej korespondencji, będziemy musieli powrócić do rozważań szczegółowych nad tą kwestją.

(Red.).

Kronika Zagraniczna

NARESZCIE!

Po dwu miesiącach rokowań nastąpiło wreszcie dnia 30 XI podpisanie umowy w sprawie wykonania protokółu z Rambouillet, przewidującego francuską pomoc finansową dla Polski. Sygnalizowaliśmy trudności w tej sprawie, które były nie tyle technicznej, co politycznej natury. Dojście ostatecznie do skutku tej pożyczki świadczy o tem, że trudności te zostały usunięte. Potrzeba było do tego wyraźnych oświadczeń kierownika naszej polityki zagranicznej, złożonych w Paryżu, Londynie i ostatnio w czasie bytności w Warszawie ministra Antonescu. Uznano widocznie w Paryżu, że te oświadczenia chyba już będą obowiązywały i że Canossa jest już ostateczna. Opinja publiczna w Polsce potrafi dopilnować, aby tak istotnie było. Minęły czasy, kiedy można było próbować iść przeciw niej. Obecnie można tylko se soumettre ou se démettre.

POWRÓT DO DAWNYCH PRZYMIERZY.

Pobyt w Warszawie rumuńskiego ministra spraw zagranicznych, Wiktora Antonescu, zapowiedź dalszych wizyt rumuńskich, a wśród nich szefa sztabu armji rumuńskiej, toasty wygłoszone w Warszawie, oświadczenia prasowe i przez radjo, wreszcie wspólny komunikat urzędowy — wszystko to stwierdza, że sojusz polsko - rumuński w ostatnich dwu latach będący martwą literą, został znów ożywiony i wzmocniony. A tem samem poszły w kąt niewczesne flirty z Węgrami i marzenia o wspólnej z niemi akcji przeciw Czechosłowacji. Nie braliśmy nigdy flirtów tych zbyt poważnie i nie wierzyliśmy w możność wystąpienia przeciw Czechosłowacji. Ale były to rzeczy irytujące i powodowały dużo złej krwi wśród państw Małej Ententy, a wśród nich i w sprzymierzonej Rumunji. Obecnie to się również skończyło. Jest to logicznem następstwem drogi do Paryża i Londynu, związanych ze sobą obecnie wspólnością celów politycznych. Czekamy na dalsze konsekwencje.

DZIWNY UKŁAD.

Mówimy o układzie antykomunistycznym Niemiec i Japonji. Jest to typowe porozumienie policyjne, ubrane w formę aktu dyplomatycznego. Wszystko w nim jest dziwne. I podpisy i forma i treść. Dlaczego zawierał go p. Ambasador Niemiec w Londynie v. Ribbentropp, a nie minister v. Neurath albo — szef Gestapo? Przecież byli również w Berlinie, gdzie układ podpisano. Dlaczego nadano układowi temu formę uroczystą i ogłoszono go z wielkim hałasem? Dlaczego zredagowano go tak mętnie, zwłaszcza punkt drugi, że możliwe są najrozmaitsze interpretacje. Jedno z dwojga: albo jest to narzędzie walki z Rosją sowiecką i kryje się poza niem tajne porozumienie wojskowe, albo przeciwnie, jest to akt pozorny, mający zaspokoić wewnętrzne potrzeby agitacyjne obu państw, nie narażając ich na konflikt z Sowietami. W tym drugim wypadku ostrze jego zwraca się nie przeciw Rosji sowieckiej, ale przeciw nie wymienionym państwom „zagrożonym specjalnie przez komunizm". Dla Japonji niewątpliwie państwem takiem są Chiny. Dla Niemiec, obok Hiszpanji, chyba Francja i Czechosłowacja. Byłby to zatem nowy pomysł. Już nie krucjata przeciw Sowietom, ale żandarmerja światowa, pilnująca, aby zaraza bolszewicka nie wylała się poza granice Rosji. Ile tu możliwości mieszania się w nieswoje sprawy, ile pretekstów do niebezpiecznych poczynań. I dziwią się teraz w Berlinie, że układ ten zamiast ogólnego entuzjazmu wywołał zdwojoną czujność, zwłaszcza tych, którzy stoją na straży pokoju światowego.

WIZYTY BEZ REZULTATÓW.

Jeżeli ktoś miał wątpliwości, czy wspaniałe przyjęcie i wielki sukces prestiżowy nie może czasem pokrywać pustki treści politycznej, to klasyczny przykład takiego wypadku ma obecnie w wizycie regenta Węgier, admirała Horthyego i towarzyszących mu premjera Daranyiego i ministra spraw zagranicznych Kanyi w Rzymie. Rozbudzone przez mowę Mussoliniego w Medjolanie nadzieje Węgier na poparcie przez Włochy w jakiejś konkretnej formie rewizjonizmu węgierskiego zostały całkowicie zawiedzione. Włochy rokują z Anglją i planują porozumienie z Jugosławją i innemi państwami Małej Ententy oraz Ententy bałkańskiej i nie w głowie im teraz popieranie planów węgierskich. Ale chcą zachować przyjaźń Węgier, potrzebną im dla utrzymania porozumienia rzymskiego, podstawy ich wpływów w basenie naddunajskim, wpływów zagrożonych przez akcję Niemiec. Przeto nie dając Węgrom nic konkretnego, mnożą objawy serdeczności. Bez rezultatu minęła konferencja wiedeńska i podróż do Budapesztu ministra Ciano, bez rezultatu minęły przyjęcia w Rzymie. Ale były wspaniałe. I już zapowiada się rewizytę króla włoskiego i Mussoliniego w Budapeszcie. Przyjęcie i uroczystości będą również wspaniałe.

I W WIEDNIU.

W powrotnej drodze z Rzymu węgierscy mężowie stanu zatrzymali się w Wiedniu. I tu wizytę ubrano w szaty iście królewskie, wskrzeszając tradycje cesarskiego Wiednia. I tu treść polityczna jest nikła. Bo trzeba czekać, co powie Rzym, który tymczasem rozmawia z Londynem. Do czasu zakończenia tych rozmów nie wiadomo, czy nadal spoglądać ku Berlinowi, czy też raczej ku Londynowi i Paryżowi. I nie wiadomo, jak ocenić sprawę habsburską. Tymczasem muszą więc wystarczyć uroczystości.

STEFAN GLIXELLI.

Możliwości współpracy uniwersyteckiej Polsko-Rumuńskiej

Dzienniki rumuńskie i polskie podały wiadomość o zawarciu konwencji kulturalnej polsko - rumuńskiej. Projekt godny największego uznania, ale wykonanie niełatwe. Dlatego też należy zagadnienie rozpatrzyć gruntownie i zdać sobie sprawę z możliwych terenów współpracy. Zdaje się, że jednym z najważniejszych mogą być uniwersytety.

Uniwersytety rumuńskie w porównaniu z polskiemi są młode. Jakkolwiek początki szkolnictwa wyższego w Mołdawii (stolica Jassy) sięgają połowy wieku XVI, bo istniała tam akademja łacińska, niewątpliwie pod wpływem polskim, a na Wołoszczyźnie (stolica Bukareszt), rozwinęła się półtora wieku później akademja z językiem wykładowym greckim, to jednak właściwe uniwersytety sięgają połowy wieku XIX. Obecnie Rumunja posiada cztery uniwersytety: najstarszy założono w r. 1860 w Jassach; uniwersytet w Budapeszcie powstał w r. 1864; w Cluj i Czerniowcach zorganizowano po wojnie dwa nowe uniwersytety rumuńskie w miejsce dawnych, węgierskiego i niemieckiego. Doskonałe środowisko naukowe w Cluj nasuwa porównanie ze Strasburgiem, gdyż mocne postawienie uniwersytetów w obu miastach było usilnem staraniem Niemców i Węgrów, jako też, po wojnie, Francuzów i Rumunów.

Współpraca uniwersytetów polskich z rumuńskiemi nastręcza liczne trudności, z których nienajmniejszą jest nieznajomość języka, ale przedewszystkiem ta okoliczność, że zarówno dla Rumunów, jak dla nas wielkie środowiska naukowe Zachodu, stanowią daleko większą atrakcję, niż uczelnie bliskiego sąsiada i sprzymierzeńca. A jednak są przynajmniej dwa tereny bardzo korzystne dla naszej współpracy, a mianowicie: slawistyka i romanistyka.

Badanie rumuńskiego języka, literatury, folkloru, całej historji rumuńskiej nie może się obejść bez slawistyki. Język starosłowiański był początkowo dla nich jędynym językiem kultury, jak dla nas łacina. Kultura polska miała w Mołdawji wpływ bardzo wielki, zwłaszcza w wieku XVII. Słowem, bez przesady można powiedzieć, że związki ich ze słowiańszczyzną były prawie tak ścisłe, jak nasze ze światem romańskim. Toteż słowianoznawstwo jest dla nich ważnym działem nauki i każdy uniwersytet rumuński ma katedrę slawistyki, a mowy niema o zwijaniu którejkolwiek. Przeciwnie, raczej dąży się do tworzenia katedr, uwzględniających inne działy słowianoznawstwa. Takiemi są katedry historji Słowian w Bukareszcie i w Cluj.

W Uniwersytecie Bukareszteńskim katedrę filologji słowiańskiej zajmuje *P. Cancel*, który jest wyspecjalizowany w zakresie południowo - słowiańskim, ale zna i uwzględnia także inne działy slawistyki. Podobnie *I. Barbulescu*, profesor w Jassach, który ma liczne prace z zakresu wpływów słowiańskich. W Cluj wykłada slawistykę *E. Petrovici*, mający gruntowne przygotowanie językoznawcze. W Czerniowcach jest profesorem *Gr. Nandris*, wszechstronny slawista, ale głównie polonista, który stopień doktorski zdobył w Krakowie.

Profesorem historji Słowian w Uniwersytecie Bukareszteńskim jest *P. P. Panaitescu*, który także studjował w Krakowie. Między licznemi pracami tego młodego profesora zwracają uwagę rozprawy o stosunkach polsko - rumuńskich, których jest najlepszym znawcą. Ma wielkie zasługi jako sumienny recenzent publikacyj polskich.

Wybornym znawcą folkloru słowiańskiego jest *P. Caraman*, obecnie dyrektor liceum rumuńskiego w Sofji. Jego gruntowna monografja o kolędach została wydana przez Polską Akademję Um. Nie można też pominąć młodszych pracowników jak: T. Holban, G. Duzinchevici, M. Pop, I. Corfus. Inni najmłodsi są jeszcze w toku studjów polonistycznych, przebywając w Polsce jako stypendyści.

Dla slawistów rumuńskich główną atrakcję, obok krajów południowo - słowiańskich, stanowi Polska ze względu na odwieczne stosunki. Takich szans nie ma Praga, która jednak stara się o przyciągnięcie młodzieży rumuńskiej. Jak dotąd wpływy czeskie na tym terenie naukowym są nieznaczne i młodsi slawiści rumuńscy zawdzięczają swą specjalizację głównie profesorom polskim. Są możliwości, by ten stan, korzystny dla obu krajów, jeszcze bardziej się umocnił i rozszerzył.

Te usługi, oddane nauce rumuńskiej przez slawistów i polonistów naszych, mogą być oddane nauce naszej przez romanistów rumuńskich. Romanistyka przedstawia się w uniwersytetach rumuńskich bardzo poważnie i wszechstronnie. Rozmaite jej działy reprezentowane są w Bukareszcie przez osiem katedr, mianowicie: katedrę porównawczej filologji romańskiej *(O. Densusianu)*, dwie katedry języka rumuńskiego (dialektolog *A. Candrea* i fonetyk *A. Rosetti)*, dwie katedry literatury rumuńskiej *(N. Cartojan i D. Caracostea)*, katedrę literatury porównawczej i teorji *M. Dragomirescu)*, katedrę literatury francuskiej *(Ch. Drouhet)* oraz literatury włoskiej *(A. Marcu)*.

Uniwersytet w Cluj ma znakomicie zorganizowany ośrodek studjów romanistycznych o charakterze wybitnie językoznawczym, którego duszą jest *S. Puscariu*, a katedr ma sześć. Jassy mają pięć a Czerniowce cztery katedry romanistyczne.

Ze względu na to, że uniwersytety polskie mają tylko po jednej katedrze romanistyki, z wyjątkiem wileńskiego, który jej został pozbawiony, Rumunja powinna stanowić poważną atrakcję dla naszych studentów romanistyki. A jednak studjowało ich tutaj bardzo niewielu. Dlatego? Są przecież corocznie dwa stypendja Rządu rumuńskiego dla młodzieży polskiej, a także dwa stypendja Rządu Polskiego dla młodzieży rumuńskiej. Z rezultatów widać, że w Rumunji bardzo umiejętnie rozdawano stypendja polskie. Niestety u nas zbyt często udzielano stypendjów rumuńskich handlowcom i prawnikom. Wyglądało to tak, jak gdyby do Aten wysyłano jako stypendystów nie archeologów i filologów, ale np. farmaceutów i weterynarzy. Widocznie system protekcyjny odgrywał swą zwyczajną rolę...

Skoro w Rumunji powstała po wojnie pokaźna grupa młodych slawistów, przygotowanych częściowo w Polsce, bardzobyśmy pragnęli widzieć u nas odpowiednią ilość romanistów, obeznanych z językiem i literaturą rumuńską. W Rumunji studja romanistyczne stoją na bardzo wysokiem poziomie, a dla młodego romanisty polskiego odpowiednio przygotowanego w kraju, pobyt w jednym z uniwersytetów rumuńskich przedstawia korzyści niemniejsze niż pobyt we Francji lub Italji.

Warto o tem pomyśleć z okazji zawarcia konwencji kulturalnej polsko-rumuńskiej.

PRETEKSTY.

Wy, którzy Rzecząpospolitą władacie...

Powinniście być dobrymi psychologami. Np. z polską psychologją jest tak: Polak jest personalistą, i owszem, co znaczy, że Polakom (czyli: wielu Polakom) zależy więcej na o s o b i e, niż na z a s a d z i e; tak po Mickiewiczowsku: nie „s y s t e m" ale „ś w i a t ł o" — a światłem świecić może tylko coś ż y w e g o lub k t o ś żywy.

Polaków więc można łatwiej prowadzić, niż się im s p o d o b a ć. Tem łatwiej, że w Polakach niema nic z tego osławionego warcholstwa; może kiedyś było coś takiego, a jeśli było, to u tych wszelkich panów i panków; ale średni Polak?... Tyle zresztą Polakom nagadano i napsioczono o tem warcholstwie, że Polak stulił ogon i położył uszy — i nieskoro da się rozgniewać, aż do warknięcia... Łatwo więc prowadzić Polaków.

Ale... jest mimo wszystko i a l e: Ale prowadzić można Polaków wesołych albo Polaków smętnych, czyli ospałych, sflaczałych, znudzonych.

Polak, choć się tak ładnie odwarcholił, to jednak została w nim ta chętka fatalna, co mu nawet w poniżeniu czoło zdobi, że wierząc w braterstwo, pragnie, iżby się wszystko robiło tak jakby od niechcenia, swobodnie, po panbracku, po przyjaźni, na wesoło, bez przykazu, tylko tak, jakby wszyscy tego samego, od samego środka siebie chcieli, bez szematów urzędowych, tylko z dobrego przyzwyczajenia i przywiązania personalnego, co samo z siebie rosło — i urosło.

Jak się Polaka tak prowadzi, to Polak idzie chętny, i wąsa pokręca i czapką wywija i — gotów daleko zajść i wysoko. Coprawda, Polak będzie czapką wywijał i wtedy, kiedy się go prowadzi na pasku z przykazów, ukazów, szematów oficjalnych, i kiedy się go pogania basem, owszem będzie szedł... ale... będzie szedł ponury i niechętny, znudzony aż do środka kiszek i serca. Z takim Polakiem daleko się nie zajdzie, ani wysoko. Polak więcej zajmuje się sobą, niż zasadami, ale Polak l u b i ć umie tylko człowieka, co spośród braci wyrósł spontanicznie i swobodnie i nieznacznie — jak drzewo w gaju nad inne wyrasta, — wyrósł na p i e r w s z e g o spośród r ó w n y c h.

Kto tej właściwości Polaków nie pojmie aż do dna, — ten łatwo pomyli się w postępowaniu z Polakami. Radości z nich nie wykrzesze, conajwyżej ospałe posłuszeństwo.

Chcemy ufać, lubić, szanować; sprawa jest n a s z a, wspólna polska. Tylko na Boga, nie róbcież przypadkiem komedji, bo zamiast poprawić — popsujecie.

O brzydkich staruszkach i o średniowieczu

Cała wściekłość, jaką człowiek nowoczesny ma dla starości, nienawiść przerażenia, nienawiść obrzydzenia, odbiła się na tych stronach powieści „Granica“ — (zalecone dla dorastającej młodzieży! Świetny przykład na miłe złego początki...! pod uwagę wychowawców) — gdzie Nałkowska opisuje te herbatki pań starych i starszych. To nie są żadne makabryczne żebraczki w łachmanach, to są kobiety dobrze sytuowane, więc czyste, więc schludnie odziane; całą ich winą, grzechem śmiertelnym, przekleństwem i hańbą niezmytą, jest to, że młodość od nich odeszła, że zwiędły, że ich ciała już do niczego, do niczego.....

Poetka stylizuje je na widma bezwstydne na które patrzeć — wstyd, aż do szpiku kości przerażający wstyd, obserwatorka nieubłaganie podpatruje drogi i ślady uwiądu i zniszczenia z pasją nienawistną, — lęku śmiertelnego... I ma rację — jeśli o o s o b i e nie można inaczej myśleć, jak tylko w związku nierozerwalnym z ciałem, które w a ż y, które d o t y k a ć można, głaskać i pieścić, a które o pewnej porze roku ludzkiego staje się swoją własną karykaturą i przedobrazem śmierci.

Dziwna rzecz, wiek, który, jak żaden inny, uwierzył w śmierć nieodwołaną i ostateczną osoby ludzkiej z momentem śmierci ciała — ten wiek nie pomyślał o tem, ażeby starość jakoś ozdobić. Ozdobić — a mianowicie odziać starych w strój powłóczysty i dostojny, osobny dla starości, któryby ukrył jaknajstaranniej zniszczenie starcze ciała. Starość naszych czasów — przedewszystkiem ta starość najprzeraźliwsza, kobieca — okropnie bezbronna, bezlitośnie wydana na tragicznie śmieszną konkurencję z młodością: takież same kapelusze, kapelusiki, toczki, berety, pończoszki, trzewiczki, bluzeczki, staniczki, spódniczki, barwiczki... Tristesse de tout cela...

Ale właściwie nic dziwnego, że to właśnie nasz czas, czas tak dla starości nielitościwy i nienawistny, rozbroił starość, odarł ją z jej dawnych szat tym przyzwoitych, którzy mają ciało brzydkie, ale którzy nie chcą być upokorzeni swą ruiną. Bo starość naszych czasów nie chce poddać się, nie chce przyznać się do siebie, miesza się między młodość, rozpaczliwie resztek i ostatnich śladów gładkości cielesnej broni — i przegrywa fatalnie...

Przegrywa, bo brzydzi i przeraża tak, jak nigdy nie brzydziła i nie przerażała starość, która się z odważną rezygnacją od młodości oddzieliła, i która tym sposobem uzyskała sobie respektowne miejsce, poważnym i wstydliwym strojem zaznaczone. Tak było w średniowieczu. Coprawda i w średniowieczu potrafił wypalony miłośnik straszliwą ironją znęcać się w wyobraźni nad zniszczoną urodą ciała dawnej kochanki; ale „stara płatnerka“ nie ukazywała się przed ludźmi tak, jak ją w wyobraźni widział Villon, wobec ludzi była staruszką w uroczystym stroju starości i może nawet miała tę niecielesną już surową urodę, jaką i starość miewa, ale pod warunkiem, że nie pozuje na młodość, że między sobą a młodością ustanowiła wyraźną granicę— wdowiego czepca. Och, biedne, biedne, te biedne „paniusie“! Nie jest to drobna jakaś sprawa: tu idzie o przykład na to, że nowy czas (choć dał wprawdzie ludziom zdobycze bezcenne wolności i równości) wydał zarazem ludzi na łup samotności. Bo ta starość nieoddzielona od młodości jest samotna. ... .

Zostały zniszczone ramy i kadry, które chroniły człowieka przed strasznemi k o n k u r e n c j a m i: w danym wypadku obyczaj i „stan“ starości bronił ją przed konkurencją młodości. Wszystko pomieszało się i w tem pomieszaniu bezforemnem różnorakich typów bytowania, typy biologicznie słabsze muszą być wzgardzone i stratowane; a przecież „biologicznie słabsze“ nie znaczy odrazu „gorsze“. Trzeba więc zacząć znowu ludzi dzielić i ładnie porządkować i w jakieś nowe ramy wstawiać, jakiemiś ustalonemi formami obyczaju i otoczami zrzeszeń chronić biednego człowieka przed zgiełkliwym tamultem brzydko pomieszanej w s z y s t k o ś c i. Teraz, z powrotem wszystko wedle właściwego stanu, rodzaju, zadania, obowiązku, prawa, s e n s u... Wszyscy podobni razem, pod swoim znakiem — (ale tych znaków, wiele wiele podziałów!) ze swoim obyczajem, obrzędem, obowiązkiem, przywilejem, w swojej formie, w swoim stroju... Wiele znaków, wiele podziałów — poto, ażeby pomniejszyć tereny pomieszania, konkurencji bezwzględnej, walki na śmierć i życie. A nad tem wszystkiem k o p u ł a... Bez kopuły — śmiertelna płaskość w uporządkowanem społeczeństwie — no i bez kopuły i zwornika wszystko się rozleci. W wypadku starości: Nigdy starość nie wyznaczy sobie dobrowolnie granicy wyrzeczenia się, która zarazem będzie granicą jej bezpieczeństwa od szydu i wzgardy młodości, jeśli nie uczuje się p o d K o p u ł ą... Jak Niemcy mówią? Gotteswillige Ordnung.

Tylko, na miłość boską, nie róbcież z n o w e g o ś r e d n i o w i e c z a czarnej reakcji, ze wszystką zgrozą i barbarją s t a r e g o ś r e d n i o w i e c z a! Już Berdjajew ostrzega, że to, co on nazwał „nowem średniowieczem“, ma budować się b e z n i e w o l i i bez terroru. Że zdobyta wolność sumienia i myślenia mają być uszanowane. „Nowe średniowiecze“, wyrażenie symboliczne na ustrój, jaki się tylko szkicowo, jakby w przeczuciu, uwidocznił w starem średniowieczu, a jaki nigdy jeszcze zrealizowany nie był — ten idealny symbol, czyli „mit“, został wzięty dosłownie i są już typy, co za ideał biorą średniowiecze faktyczne, sakumpak, razem z inkwizycją i całym stekiem podobnych świństw. A już najgłupsze, kiedy o totalnem państwie hitlerowskiem mówią jako o „nowem średniowieczu“: Przecież średniowiecze, jakie było, takie było, ale było głęboko zróżniczkowane i personalistyczne i miało swoje ciche azyle dla życia ponadutylitarnego. A hitlerskie państwo totalne? Idzie w bolszewicki masizm, spędzi nim najgrubszy tamerlański militarny utylitaryzm! Ale wam się panowie młodsi niektórzy, trochę to wszystko w głowie pokiełbasiło. Trzeba trochę porządniej myśleć.

Cyrano.

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

W PRERJI

Daleko, het! — jak okiem sięgnąć zdołałeś — śmiała się do słońca prerja. Niezmierne jej przestrzenie dawały ludziom, i stadom, jadła podostatkiem. Aż po same góry rozciągały się bujne pastwiska. A gdy letnie upały zaczynały prażyć bezkresne pastwiska, i trawy więdły, albo wprost popielały — otwierały się przed ludźmi i zwierzętami cieniste kanjony, w których szemrały źródła. Żyć tu było, nie umierać!

Aliści uczynił się, roku pewnego, w onych stepach niezmiernych a tak żyznych, jakowyś popłoch. Dziko galopujący cowboje zaczęli spędzać do kupy swoje stada; i zbijać gromady zwierząt nieduże w gromady coraz większe: a te z kolei w gromady jeszcze ogromniejsze, już wprost potworne. I te tysiące i tysiące tysięcy bydlęcych głów — poczęli rozhukani jeźdźcy zapędzać do dwu olbrzymich c o r r a l ó w, z których jeden należał do r a n c h e r a w czerwonej koszuli, drugi zasię — do r a n c h e r a w koszuli czarnej. Zakotłowała się prerja. Zasłonił widnokrąg obłok kurzu wielki, jak chmura. Tratowany step jęczał. Ale innego sposobu nie było i wszystko, co tam żyło, musiało chcąc-niechcąc wpaść do czerwonej zagrody, lub czarnej...

*

Więc wszystkie stworzenia zagnano i jedno, jedyne tylko zostało poza szrankami, w których się tłoczyły miljony czworonogów — a tem stworzeniem był mały, zabawny osiołek. Dziw, że uszedł jakoś z matni, i nie dał się pojmać na świszczące lasso pastucha — właśnie on, uważany powszechnie za stworzenie najgłupsze! Ganiał teraz po zupełnie pustym stepie, zadarłszy wesoło ogon i, przelatując w pełnym galopie koło dwu wrogich c o r r a l ó w, natłoczonych beznadziejnie, wydawał swe charakterystyczne, ogłuszające:

— I---aaaa!

Ten mały osioł mógł był chyba uchodzić za zwierzę stracone, bo nie opiekował się nim nikt, nie pilnował go nikt, a po prerji uwijały się pumy...

*

O dziwo! Cóż się jednak dziać zaczęło? W obu c o r r a l a c h powstał, prawie jednocześnie, jakiś dziwny popłoch, a potem panika. Olbrzymich mas stłoczonych zwierząt nie było czem wyżywić, to pierwsze. A następnie, zaczęła się w zagrodach bezlitosna trzebież. Bo w jednym c o r r a l u wyrzynano wszystko, co było n i e d o ś ć c z e r w o n e, w drugim zasię wszystko, co było n i e d o ś ć c z a r n e. Doprowadzone do wściekłości ogiery wierzgały i gryzły. Oszalałe z wściekłości byki brały pastuchów na rogi. Odurzone zapachem krwi bydlęta — poszalały...

A wreszcie, bodąc się i tratując wzajemnie, w świście lass, w nieustannej palbie Colt'ów, w kłębach dwu straszliwych, jednocześnie wybuchłych pożarów — obie zagrody, wraz ze wszystkiem, co w nich żyło — a więc zarówno zwierzętami, jak ludźmi — obróciły się w perzynę...

ADAM ORDĘGA.

Koncepcje ideologiczne reformatorów szkolnictwa

Streszczają się one w haśle wychowania państwowego. Kiedyś historyk spojrzy z przerażeniem na tę masę papieru jaką zadrukowano interpretacją tej kwestji. Jakże przedstawia się ta koncepcja w ujęciu grupy „Zrębu". głównej kadry sanacji na terenie szkoły? Janusz Jędrzejewicz w 3-cim numerze „Zrębu" (Wychowanie państwowe, s. 312—313) tak ujął tę sprawę:

„Bo wychowanie państwowe nosi zgoła inny charakter. Nie jest ono wyrazem żadnej określonej doktryny społecznej, żadnej wiary religijnej i żadnego określonego światopoglądu filozoficznego. Wychowanie państwowe treść swoją czerpie z rozważań natury czysto życiowej, a oparte jest na faktycznym układzie stosunków, w jakim znajduje się świat cywilizowany w chwili obecnej. Nie pretenduje ono bynajmniej do nazwy doktryny wychowawczej, ale chce w ramach istniejących i dających się na najbliższą przyszłość przewidzieć warunków kształtować ludzi, rozumiejących swoją rolę w strukturze państwowej, jako najbardziej zasadniczej, najpełniej funkcjonującej, najbardziej niezbędnej formie pracy organizacyjnej ludzkości."

A inny ideolog tej grupy Jerzy Ostrowski w 5 numerze „Zrębu" w artykule „Fundamenty ideologji" tak pisze:

„Niekoniecznie też program pisany jest charakterystycznem kryterjum dla sądu kwalifikującej o danej grupie społecznej czyli politycznej. Niejednokrotnie znacznie ważniejszą i bardziej charakterystyczną od programu jest taktyka. Taktyka, która jest realną i niewątpliwą ekspresją poglądu na świat, ekspresją psychiki grupy na żywe zagadnienia egzystencji zbiorowej. Program aż nazbyt często jest kompromisem na rzecz frazeologji, propagandy, konwencji lub mody (modne hasła); taktyka zaś jest jedynem niefałszowanem obliczem i jedynym prawdziwym czynnikiem historji obozu".

Kropkę nad i postawił niechcący zdaje się Władysław Sieroszewski w 2 numerze „Zrębu" (Wczoraj i Jutro polskiego harcerstwa, s. 225).

„Oczywiście Państwo nie może być utożsamione z tym czy innym urzędnikiem, czy nawet ministrem. Ale siłą rzeczy musi być utożsamiane z panującym kierunkiem rządowym".

Przytoczone cytaty czołowych przedstawicieli koncepcji wychowania państwowego jasno okazują jej istotny cel. Cała ta koncepcja opierała się w erze Jędrzejewiczów na równaniu: *Państwo = Rząd = BB.* W praktyce schodziło tu do deklamacji i apoteozy marszałka Piłsudskiego. Teoretyczną próbą uzasadnienia koncepcji wychowania państwowego miała stać się książka pani Hanny Pohoskiej „Wychowanie obywatelsko-państwowe". Pełna bombastycznego frazesu, oklepanych komunałów była takim skandalem, że po druzgocącej recenzji B. Suchodolskiego została przez Ministerstwo z obiegu wycofana. W ten sposób myśl wychowania państwowego, mająca zagranicą tak bogatą i głęboką literaturę pedagogiczną — np. dzieła Kerschensteinera, Gentilego u faszystów włoskich — w naszej twórczości nie wyszła poza opłotki frazesu i deklamacji, mającej przesłonić ideową pustkę obozu majowego. Całe zagadnienie zostało spłytczone i ośmieszone. Gdy zaś jeszcze w praktyce zaczęto przeciwstawiać szkołę i organizacje młodzieży, jako teren wychowania państwowego, rodzinie—podrywając wiarę w skuteczność oddziaływania wychowawczego rodziny — myśl wychowania państwowego jeszcze bardziej została zdyskredytowana. Poczuli się dotknięci takiem ujęciem sprawy konserwatyści, którzy na łamach „Czasu" niejednokrotnie bardzo ostro zwalczali „jędrzejewiczowską" koncepcję wychowania państwowego.

Najdotkliwsza jednak krytyka wyszła z kół intelektualistów zbliżonych do obozu rządowego. Jej przejawem były głosy profesorów Jana St. Bystronia i Stefana Kołaczkowskiego. Bystronia raził niski naukowy poziom ujęcia tego zagadnienia:

„Nie mogę słuchać spokojnie tak częstych i modnych dzisiaj dyskusyj o „wychowaniu państwowem". W dyskusjach tych obracamy się najczęściej w zakresie zwykłych ogólników, frazesów, nastrojów; deklamacja ma służyć jako dowód konieczności stworzenia wychowania państwowego, a wychowanie to należy też przeprowadzać deklamacyjnie. Większość mówców nie widzi innej możności wychowania państwowego, jak ciągłe powtarzanie, że „Polska to wielka rzecz", że wszystko dla państwa, że państwo jest wszystkiem, powtarzanie w rozmaitych zresztą nawet przeważnie mało oryginalnych stylizacjach, powtarzanie przy każdej sposobności, na każdej godzinie szkolnej, przy nauce każdego przedmiotu, powtarzanie teatralne, efektowne, nieznośne".

I słusznie stwierdza dalej Bystroń:

„że taki nauczyciel jest wychowawczo zupełnie obojętny, nie wywiera on żadnego wpływu, nie spełnia żadnej faktycznej roli w życiu młodzieży, ucząc co najwyżej zbędnej frazeologji." (Bystroń: Uspołecznienie szkoły, Warszawa 1933, s. 58).

Każdy rozumny wychowawca zgodzi się także z ujęciem wychowania państwowego, jakie daje Bystroń: „Istotą wychowania państwowego jest pogłębianie kultury społecznej. Na miejsce dawnego ideału ogólnie wykształconej intelektualnie jednostki stawiamy dziś ideał jednostki uspołecznionej, zdolnej do twórczego wysiłku we współpracy z innemi". (Bystroń j. w. s. 71 i 74.)

Jeśli się przez wychowanie państwowe rozumie dążność uspołecznienia młodzieży, wyrabiania w niej umiejętności współżycia z innymi, to na taką koncepcję wszyscy się chyba zgodzimy. Tylko nie grupa „Zrębu". Przyjęła ona artykuł Bystronia kwaśno i cierpko. Ostre słowa prawdy zbyt bolały. Nie przeciwstawiła jednak temu artykułowi nic konkretnego. Po dawnemu powtarzano gładkie frazesy, upajano się słowem. Kult państwa stawać się zaczynał rodzajem prymitywnego fetyszyzmu. Toteż nic dziwnego, że musiała w kołach intelektualistów, zbliżonych do obozu rządowego, zrodzić się jeszcze jedna gwałtowna krytyka. Jeszcze głębszą a zarazem bardziej dosadną krytykę wychowania państwowego dał S. Kołaczkowski na łamach „Marcholta" w 1935 r. Słusznie stwierdził, że hasło wychowania państwowego było „orgją werbalizmu i biurokratyzmu w szkolnictwie", że miało „charakter tylko polityczny, prorządowej propagandy", iż „ubocznym jego produktem był obłudny i pusty werbalizm lub czcza afekcja, n. b. na urząd robiona i przez to właśnie demoralizująca i młodzież i nauczycieli." Ale przedewszystkiem ważne było stwierdzenie przez prof. Kołaczkowskiego tej prostej prawdy, że „na haśle wychowania państwowego nie kończy się dylemat, lecz właśnie dopiero *zaczyna*. Jaką treść, jaki charakter ma mieć nasze państwo? Tu dopiero trzeba stworzyć program. Właśnie dopiero pogląd na świat może zdecydować, czy chcemy państwa komunistycznego, chrześcijańskiego, faszystowskiego, czy jakiegoś innego."

Zdawałoby się, że tak przyciśnięci do muru „ideologowie" grupy „Zrębu" spróbują przeciwstawić konkretny program. Nic podobnego! Skończyło się tylko na niewieściej irytacji jednej z reprezentantek tej grupy na łamach „Pionu". Brak jakiegokolwiek pogłębienia ideologicznego powoduje, że hasło wychowania państwowego dziś jest tak samo otoczone mgłą frazeologji, jak było w czasie wydania sławetnej książki p. Pohoskiej. Pstrokacizna ideowa obozu najjaskrawiej uwidacznia się w braku ideologji wychowawczej, któraby treścią żywą i konkretną wypełnić mogła pojęcie wychowania państwowego. Po dawnemu jest ono domeną harców frazeologicznych

* * *

A mały kłapouch, uszedłszy cało z prerji, wykpiwszy się krwiożerczym pumom, potrosze zapewne zdrowym instynktem wiedziony, a potrosze czemś, co nazwalibyśmy zdrowym rozumem (gdyby nie opinja powszechna, odmawiająca osłom rozumu?) — pognał w góry, zamykające niziny, jak wał niebotyczny. W kanjonie podgórskim znalazł dość soczystej trawy, zaczął się tedy paść spokojnie, od czasu do czasu tylko strzygąc prawem, albo lewem uchem, i oganiając się chwostem od uprzykrzonych owadów. Było tam źródło, tryskające w dolinie, więc sobie popił. I miękkie zioła, więc się w nich wytarzał. Potem się przespał. A o świcie, gdy wielkie, radosne słońce wstawało nad górami i prerją, wybiegł osioł na ostrokończysty cypel skalny i z niego, niby z baszty strażniczej, zaśpiewał taki Hymn do Wolności:

Kiedy się na całym świecie mieszają rozumy
i kiedy w głowach oleju mniej, niż w oślim kuprze,
dochodzę do głosu JA i, w płaszczu dumy,
ryczę w dal — stworzenie „najgłupsze"!
I Hymnu mego struchlały świat jednak słucha,
bo kiedy Człowiek milknie — przemawia Stwór.
Niechaj więc frontem dziś stanie natury chór
— do kłapoucha!
Pod świstem bata żadna myśl żyzna jeszcze nie wzeszła,
choć tylkoośli mam rozum, na świata końce
posyłam pogardę burzy, która odeszła
— i witam słońce!

sowiczów i zgoła zwyczajnych karjerowiczów. Używają na niem sobie niemało dowcipnisie. Do takich rozmiarów skarykaturowano poważne zagadnienie wychowawcze. A najgęstszy choćby frazes nie przesłoni faktu, że koncepcja t. zw. „wychowania państwowego“ w Polsce jest całkowicie nieudaną próbą wpojenia w świadomość społeczeństwa mniemania o tożsamości interesów państwowych z interesami aktualnej grupy rządzącej. Najlepszą ilustracją praktyki wychowania państwowego stały się wysokie pobory ministrów według ostatniej ustawy uposażeniowej braci Jędrzejewiczów. Zestawienie dwóch tych faktów — teorji wychowania państwowego i uposażeń ministerjalnych — obnaża dostatecznie jasno moralny „plon“ twórców idei wychowania państwowego.

Nowy kierownik ministerstwa oświaty, prof. Świętosławski nie wypowiedział się dotąd nigdzie wprost na temat wychowania państwowego. Ale na podstawie licznych przemówień prof. Świętosławskiego, zwłaszcza opierając się na przemówieniu z 4 września 1936 „O pracy nauczyciela“, mamy prawo twierdzić, że obecny kierownik ministerstwa oświaty daleki jest zupełnie od owego prymitywnego fetyszyzmu państwowego, jaki reprezentowali bracia Jędrzejewicze. Trzeba to otwarcie powiedzieć, że wspomniane wyżej przemówienie prof. Świętosławskiego zrobiło w kołach nauczycielskich nadzwyczaj korzystne wrażenie. Ujmować bowiem musi i ów ton zaufania i szacunku dla pracy nauczycielskiej, bijący z tej mowy, — a przedewszystkiem ów wykład prostych a najbardziej zasadniczych prawd, do których prowadzić musi wychowanie. Hasło wychowania narodowego, patriotycznego — wyklęte ze słownika życia szkolnego w erze Jędrzejowiczów — zadrgało tu znów żywo. Stąd jego echo w sferach nauczycielskich. Trzeba tylko napełnić je treścią konkretną, trzeba rzucić w młodzież w i z j ę z j e d n o c z e n i a n a r o d o w e g o, zestrzelenia wszystkich wysiłków całego narodu, a niewątpliwie przyjdzie odzew. Trzeba w bezideowość chwili dzisiejszej, w nastrój oczekiwania rzucić młodzieży mit przebudowy Polski współczesnej,, stworzenia państwa ładu i sprawiedliwości społecznej. A równocześnie jaknajmocniej przestrzec należy przed jednem: wszelkie próby galwanizowania hasła wychowania państwowego są dziś beznadziejne. Ktoby dziś szkole naszej usiłował narzucić kult „wodza“, ten podjąłby się pracy syzyfowej. Niema w szkole dzisiejszej podłoża psychicznego, na którem by się to hasło mogło przyjąć ani wśród młodzieży ani wśród nauczycielstwa. Szkoła polska czeka dziś na swą wielką ideę, która zagubiła się gdzieś na manowcach wychowania państwowego“.

Przypomnienia...

Piękny pakt bilateralny.

(k) Mieliśmy w naszej przeszłości pewne doświadczenia o wartości paktów, i to zarówno zbiorowych, jak i bilateralnych. Ale szczególniej w tym drugim zakresie wynieśliśmy z tragicznych naszych przepraw wymowne wspomnienie: o przymierzu polsko - pruskiem 1790 r.

Otwieramy rzecz Askenazego. Ma lat czterdzieści. Jest wciąż aktualna i młoda.

Piękny to był pakt bilateralny. Głosił między innemi w artykule VI: „Gdyby którakolwiek potencja obca chciała, w imię jakichkolwiek aktów i umów, czy ich interpretacyj, przypisywać sobie prawo do mieszania się do wewnętrznych spraw Rzplitej polskiej, albo jej posiadłości w jakikolwiek sposób, JKMć pruska najpierw zastosuje życzliwe usługi jaknajskuteczniejsze, by uprzedzić działania wrogie z pretensji takiej mogące wyniknąć; gdyby jednak te życzliwe usługi nie były skuteczne i wyniknęły z tej okazji kroki nieprzyjacielskie przeciw Rzplitej, JKMć pruska, uznając wypadek ten za wypadek przewidziany przymierzem, udzieli pomocy według art. IV tegoż traktatu“ (30.000 wojska niezwłocznie).

Artykuł ten stawiał Prusy na stanowisku obrońcy niepodległości Rzplitej. Inne punkty traktatu, wzorowane na równoległym, wcześniejszym traktacie prusko - angielskim, otwierały Polsce drogę do mocarstwowej przyszłości. Przymierze prusko - angielskie „stanowiło jakby jądro wielkiej koalicji zaczepnej, zamyślanej przez Prusy“. A przymierze prusko - polskie czyniło Polskę strażą boczną w razie akcji pruskiej w stronę Dunaju, strażą przednią w razie akcji przeciw Rosji.

Plamka na słońcu: negocjator traktatu, marchese Lucchesini, pisał jakieś pół roku przedtem do Herszberga: „Boję się, że zaczynają nas odgadywać co do naszego projektu izolowania Polski“.

Obawa nie była uzasadniona. Nie odgadnięto.

Pierwsze rozczarowanie.

W pół roku po traktacie pierwszą przestrogę dały wypadki.

„...Nagle z Reichenbachu... przyszła do Warszawy depesza Jabłonowskiego o zawartej opłakanej konwencji prusko - austrjackiej. Wrażenie było piorunujące. Rząd Warszawski, stronnictwo patrjotyczne, ogromna większość opinji publicznej, były wprost oszołomione. Było to nagłe uderzenie maczugą. Było to uderzenie, podważające samą istotę przymierza Rzplitej z Prusami... Zobojętnione do połowy, wstępowało odtąd w niebezpieczne stadjum całkowitego rozkładu. Zrozumiano to natychmiast w Warszawie...“

Apel in articulo mortis i zdrada.

Po dwóch blizko latach, gdy wojska rosyjskie najechały kraj, Stanisław August apeluje do Fryderyka Wilhelma II, swego aljanta: „Wśród moich niespokojności i kłopotów, co mnie pociesza, jest to, że nigdy sprawy nie było lepszej, ani ku swej pomocy nie miała *aljanta szanowniejszego i szczerzej postępującego w oczach świata i potomności*“. Z tym apelem wysłany Ignacy Potocki do Berlina.

Stąd, po daremnem wypominaniu zobowiązań, kołataniu do sumień, przywozi wyjaśnienie królewskie:

„...*Gdy położenie rzeczy się zmieniło od czasu zawarcia mego przymierza z Rzplitą*, gdy zresztą okoliczności teraźniejsze, wytworzone przez Ustawę dnia 3 Maja 1791 r., a więc przez akt późniejszy od mego traktatu, nie mają zgoła zastosowania do zobowiązań, w tym traktacie umówionych, przeto nie jest moją rzeczą uczynić zadość oczekiwaniu Waszej Królewskiej Mości...“

Bischaffwerder do Potockiego: „Wierzaj mi, hrabio, że sam jednakowo potępiam nietylko system, lecz także sposób tłumaczenia, stosowany tutaj względem Rzplitej“.

Zapomniał dodać, że „*Not kennt kein Gebot*“.

Zrozpaczony Ignacy Potocki pisał do Piattolego:

„Ukryty system pruski się ustala. Prusy nas opuszczają. Chcą uniknąć wojny z Rosją. Spodziewają się wcześniej lub później zawrzeć z nią przymierze. *Myślą o uszczupleniu Polski. Pod rządem obecnym do wszystkiego są zdolne*“.

Nie na jedno wypada.

Takie są doświadczenia nasze z Berlinem „bilateralne“ z przed półtora wieku. Drogocenne. Zapłaciliśmy za nie Berlinowi Gdańskiem, Toruniem, Poznaniem, Płockiem, Częstochową. A wkrótce dołożyliśmy skrwawioną Warszawę.

Nie było, bez wątpienia, pewnem od początku, że na tem się skończy. Prusy istotnie dążyły do wojny, w której Polska istotnie miała rolę do odegrania. Uważały przytem, że w wyniku tej wojny dostaną od Polski Gdańsk i Toruń — *w każdym wypadku*. Okoliczności zmieniły się. Do wojny europejskiej nie doszło. Sojusznik poniósł koszta planów nieziszczonych. Zapłacił z lichwą. Mistrzowska rzecz Askenazego ma za *motto* słowa z apologetycznego dziełka Ignacego Potockiego i Hugona Kołłątaja: „A lubo, co do skutku, na jedno wypada, czyli zdrada pochodzi z wczesnego podstępu, czyli ze zmienności, jest wszelako różnica między tymi, którzy zwodzić się dają obrotom złej wiary, a tymi, którzy zawód cierpią z niestałości bądź osób, bądź rzeczy na świecie. Pierwszych o własną nieroztropność, drugich za los przeciwny, lub za cudze chyba przestępstwa winować można“.

Jest też różnica między tymi, którzy wtedy „zawód cierpieli“, a tymi, którzyby po półtora wieku mogli się nań narazić. Bo nie „na jedno wypada“, czy Polak przed szkodą czy po szkodzie — zdaje się na pakt polsko-pruski.

Z 7 dni

***

Według statystyki amerykańskiej od marca do grudnia r. ub. zniszczono w Brazylii 7.500.000 worków kawy; od kwietnia 1934 do kwietnia 1935 zabito i spalono w Stanach Zjednoczonych 6.200.000 świń, zniszczono 2 miljony tonn kukurydzy; w tymże okresie w Los Angeles wylewano co miesiąc do ścieków 200.000 litrów mleka; w Kalifornji zniszczono w ub. r. pół miliona pomarańcz i wycięto 80.000 drzew brzoskwiniowych; ponadto w różnych Stanach w ciągu 10 miesięcy zatopiono 10.000.000 kilogramów ryżu, 5.000.000 tonn mąki i 3.000.000 kilogramów bananów.

Wszystko to stało się dla utrzymania na rynku wysokich cen.

*

Zamknięcie wyższych uczelni pociągnęło za sobą wiele skutków niepożądanych dla kultury. Tak, naprzykład, wstrzymano cykl odczytów o komunizmie, pomiędzy innymi wykład prof. M. Zdziechowskiego p. t. „Czerwony terror“. Wstrzymano również odczyty w Związku Chemików. Ba, nie odbył się odczyt w sali Teologicum o powstaniu listopadowem. Czyżby obawiano się „blokady“ publiczności?

JAN BEZŁASKI.

Upowszechnienie własności

IV.

POLITYKA PAŃSTWOWA.

Fakt, że proces upowszechniania się własności jest procesem naturalnym — jak to staraliśmy się wykazać w poprzednich częściach niniejszej pracy [1]) — stwarza dla polityki państwowej w tej dziedzinie niezmiernie dogodną sytuację. Albowiem to, co ma w sobie naturalne siły żywotne, nie potrzebuje dla swego rozwoju ani ofiar z czyjejkolwiek strony, ani przywilejów, które zawsze niosą ze sobą groźbę spaczenia i wynaturzenia uprzywilejowanego — wymaga jedynie rozumnego postępowania, które całemu gospodarstwu narodowemu wychodzi na korzyść.

Jakżeby mogło wyglądać poparcie procesu upowszechniania własności przez politykę państwową? Wymienimy tylko kilka sposobów, które jednak — w naszem przekonaniu — posunęłyby ten proces praktycznie bardzo silnie naprzód.

1. Ograniczenie etatyzmu. W dzisiejszym stanie rzeczy nietylko produkcja wielkoprzemysłowa, ale i produkcja rzemieślnicza odczuwa bardzo silnie konkurencję warsztatów etatystycznych, w szczególności licznych warsztatów przy szkołach rzemieślniczych, więzieniach, niektórych zakładach wojskowych i komunalnych. Tak uprzywilejowana konkurencja jest bez żadnej wątpliwości czemś wręcz sprzecznem z poparciem drobnego warsztatu i winna być jaknajprędzej powstrzymana.

Jak wykazywaliśmy już poprzednio [2]), dla rozwoju drobnych warsztatów pracy jest rzeczą pierwszorzędnej wagi, aby dostawa surowców nie była zmonopolizowana przez państwo, względnie przymusowo skartelizowana.

Tak więc zagadnienie etatyzmu ma z punktu widzenia rozwoju drobnej własności dwojakie znaczenie: po pierwsze jego zagadnienie uprzywilowanej konkurencji, powtóre zaś jako zagadnienie dostawców.

2. Polityka emerytalna. Ubezpieczenia społeczne, państwo i samorządy wypłacają rok rocznie miliony złotych z tytułu emerytur. Według dzisiejszego systemu emeryt pozostaje na utrzymaniu instytucji, która mu tę emeryturę wypłaca, a jak doświadczenie wykazuje, ten stosunek trwałej zależności wywołuje również trwałe rozgoryczenie emerytów, którzy przytem tracą prawo do wypracowanej przez siebie emerytury, o ile potrafią jeszcze zarabiać.

Przy dzisiejszym systemie przeciętny emeryt ma mniej lub więcej skromną egzystencję i poczucie, że jest ciężarem, że jest wyrzucony poza nawias produktywnej pracy. Gdyby natomiast emeryt otrzymał zamiast renty miesięcznej odrazu rentę skapitalizowaną, sytuacja przedstawiałaby się diametralnie inaczej. Człowiek, który przez znaczną część życia pracował na zapewnienie sobie egzystencji na starość, znalazłby się w posiadaniu pewnego kapitału, który mógłby stać się podstawą dla założenia warsztatu, czy to przez samego emeryta, czy też przez jego dzieci. Jest rzeczą techniki ubezpieczeniowej skalkulować wysokość tych jednorazowych spłat kapitałowych tak, aby finansowo były one równoważne sumom, wypłacanym obecnie w postaci rent. Dzisiejszy system emerytalny oparty jest na założeniu, że emeryt jest niedołęgą, który nie potrafi rozsądnie zaadministrować swojemi pieniędzmi i któremu trzeba jak lekkomyślnemu utracjuszowi wydzielać co miesiąc skromną pensyjkę.

Przejście na system wypłacania kapitałowej wartości rent miałoby pierwszorzędne znaczenie dla dostarczania kapitałów zakładowych dla drobnych warsztatów względnie dla drobnej własności nieruchomej.

3. Zasilanie kas bezprocentowych. Inicjatywa społeczna zakrzątnęła się dokoła tworzenia takich kas, które dla powstawania drobnych warsztatów pracy mają bardzo duże znaczenie. Otóż gdyby dziesiąta część sum utopionych przez skarb państwa w Banku Gospod. Krajowego, przeznaczona była na zasilenie kas bezprocentowych, to nie tylko perspektywa wycofania tych sum wyglądałaby dużo realniej, ale jednocześnie wystarczyłoby to do powstania setek tysięcy — tak jest: nie tysięcy, a setek tysięcy — samodzielnych drobnych warsztatów rzemieślniczych, drobnoprzemysłowych i handlowych.

4. Rozbudowa sieci energetycznej. Niezmiernie istotną jest rzeczą, aby drobne warsztaty mogły oprzeć się na takich źródłach energji, jak elektrownie i gazownie. Pisaliśmy już, że „decentralizacja energji" jest jedną z technicznych przesłanek istnienia drobnych warsztatów produkcyjnych. Dlatego też z punktu widzenia procesu upowszechnienia własności jest rzeczą niezmiernie ważną rozbudowa central energetycznych i sieci przemysłowych.

Oczywiście, samorządy, które w przeważającej części są właścicielami elektrowni i gazowni, muszą zrozumieć, że gaz i elektryczność są nie tylko wydajnemi źródłami dochodów, ale jednocześnie, a właściwie przedewszystkiem narzędziem polityki gospodarczej. Dlatego też dążyć należy do tego, aby prąd i gaz, zwłaszcza na cele pozaoświetleniowe, były możliwie tanie.

5. Reforma podatku dochodowego od osób prawnych. Dzisiaj dochód osób prawnych jest opodatkowany podwójnie: raz jako dochód danego przedsiębiorstwa, a drugi raz jako dywidenda, wypłacana akcjonarjuszowi. Jest to gospodarczy nonsens, który odstrasza kapitały od lokat w akcjach przemysłowych. Podatek dochodowy powinien być opłacany raz jeden, mianowicie od dochodu przedsiębiorstwa, bo tam stopa podatku będzie wyższa, natomiast dywidenda powinna być zwolniona od opodatkowania. Przy dzisiejszym stanie rzeczy drobny kapitalista, który nie ma widoków na to, aby zasiadać we władzach spółki akcyjnej i czerpać z tego tytułu dodatkowy dochód, nie ma najmniejszego zainteresowania dla lokat w akcjach przemysłowych czy bankowych.

Do zagadnienia tego przywiązujemy wielką wagę. Nie tylko dlatego, że w ten sposób powstałby nowy — u nas nowy — typ lokaty dla drobnych kapitałów, nie tylko dlatego, że w ten sposób skierowałoby się środki finansowe na rozbudowę przemysłu, ale i dlatego, że liczniejszy udział drobnych akcjonariuszy w kapitałach spółek akcyjnych musiałby z konieczności wpłynąć i na kierownictwo tych spółek, w szczególności zaś na ich politykę dywidendową.

6. Równouprawnienie własności produkcyjnej. W dążeniu do poparcia akumulacji kapitału pieniężnego — dążeniu słusznem, ponieważ ciągle odczuwamy niedostatek tego kapitału — poszliśmy zbyt daleko przez nadmierne uprzywilejowanie wkładu oszczędnościowego, który stanowi najbardziej prymitywną formę kapitalizacji. W porównaniu z żywym warsztatem pracy, który daje zatrudnienie czy to właścicielowi czy to innym ludziom, który bezpośrednio tworzy realne dobra, zaspakajające potrzeby ludzkie i sam jest dobrem realnem, cząstką wyposażenia ekonomicznego kraju, wkład oszczędnościowy, który z pewnością nie jest gospodarczo więcej wart dla gospodarstwa narodowego, ma niesłychane przywileje: wkłady oszczędnościowe zwolnione są do wysokości 2.500 zł. od egzekucji, i to nawet egzekucji z tytułu należności publiczno-prawnych właściciela — warsztat pracy może być stradowany aż do ostatniej złotówki i władze egzekucyjne nie wykazują roztkliwiania się nad jego losem; dochód, osiągnięty z wkładów oszczędnościowych zwolniony jest od podatku dochodowego — warsztat pracy ponosi wszystkie obciążenia państwowe, komunalne i socjalne, nie licząc przeróżnych „dobrowolnych" ofiar i pożyczek. A przytem jakże inaczej opinja inspirirowana tak często „zgóry" odnosi się do wkładcy — traktowanego niemal jak bohater narodowy — i do producenta czy kupca — traktowanego zawsze z największą podejrzliwością, i jako conajmniej przestępca „in potentia".

To uprzywilejowanie wkładu oszczędnościowego nie zachęca do ryzykowania pieniędzy w przemyśle, rzemiośle czy handlu. Zniesienie tego uprzywilejowania sprowadziłoby wkład oszczędnościowy do jego najwłaściwszej roli: formy akumulowania kapitału do czasu, kiedy pozwoli on założyć nowy czy rozszerzyć już istniejący warsztat pracy; w dzisiejszym stanie rzeczy wkład oszczędnościowy ma bardzo wiele cech pokrewnych z tezauryzacją i sprzyja krzewieniu się bierności w dziedzinie gospodarczej.

Wymieniliśmy najważniejsze, naszem zdaniem, formy i sposoby poparcia przez politykę państwową procesu upowszechnienia własności. Wydaje nam się, że sposoby te są skuteczne, bo nie stwarzają żadnych przywilejów. Musimy jednak dodać z całym naciskiem: gdyby nawet wszystkie omówione tu posunięcia dokonane były w najszerszym zakresie i w najkrótszym czasie, nic one nie pomogą, jeżeli nie będą one oparte na odpowiedniej ogólnej polityce gospodarczej, t. zn. jeżeli państwo nie wycofa się z nadmiernego fiskalizmu, z nieznośnego wtrącania się do każdej pracy obywateli, kontrolowania i nadzorowania wszystkiego, słowem dopóki — w praktyce, nie w deklaracjach — nie uzna, że obywatel jest samodzielnym i odpowiedzialnym człowiekiem, a nie kandydatem na przestępcę albo niedołęgą, który nie potrafi dbać o swoje sprawy.

Na zakończenie naszych rozważań chcieliśmy w kilku tylko słowach wspomnieć o skutkach, jakie upowszechnienie własności za sobą pociąga. I to o tych, które wywołać m u s i, a nie tych, które wywołać m o ż e.

W dziedzinie gospodarczej wymienić trzeba złagodzenie wahań konjunkturalnych. Jest to naturalne. Upowszechnienie własności — to stworzenie rezerw gospodarczych dla naj-

[1]) Patrz Odnowa Nr. Nr. 12, 13 i 14.
[2]) Patrz Odnowa Nr. 13.

szerszych warstw społecznych. A przy istnieniu takich rezerw kryzys nie spycha na dno nędzy, jak to ma miejsce np. u nas.

W dziedzinie społecznej upowszechnienie własności spowodować musi większą konkretność w poczynaniach i pomysłach, przyczynić się do zwiększenia elementu trzeźwości i rozwagi w działaniu człowieka. Tego uczy odpowiedzialność za swój własny warsztat pracy, na którym zawsze odbijają się błędy jego właściciela.

W dziedzinie politycznej większa niezależność materjalną daje większą niezależność poglądów, większą śmiałość w ich głoszeniu i wyznawaniu. To z pewnością nie dogadza zwolennikom regime'u autorytatywnego czy państwa totalnego. Ale rozwojowi kultury politycznej kraju „dogadza" to jaknajbardziej.

Z teatru

Nowy teatrzyk satyryczny: 13 Rzędów

W pierwszem 10-leciu po wojnie moda była w Warszawie na teatry rewjowe. Błyszczące szychem wystawy, tańce sezonowe, niewybredne piosenki, trochę szmoncesów, trochę sztucznych nastrojów, trochę akrobatyki, — oto co głównie wypełniało programy rewjowe, i za czem „szalała" Warszawa. Z czasem te świetne wystawy, namiętne tanga, oklepane szmoncesy, spowszedniały, znudziły się, obrzydły. Rozpowszechniły się kina, i na filmach amerykańskich można było podziwiać o wiele bogatsze wystawy, o wiele więcej i lepiej stańczonych girl'sów, o wiele bardziej pomysłowe inscenizacje. Nasze rewjowe imprezy, jak nagle wyrosły i rozkwitły, taksamo nagle przeżyły się i zniknęły.

Natomiast od dwu lat pojawił się na widowni nowy typ „nadscenki": obyczajowo-literacko-politycznej, ujętej oczywiście pod kątem widzenia lekkiej satyry. Jest to właściwie, wskrzeszony w nowej postaci, typ przedwojennych literackich t. zw. kabaretów. W tym rodzaju produkuje się już drugi rok z dużem powodzeniem „Cyrulik Warszawski" na Kredytowej, pod dyrekcją Jarossy'ego.

Jest to zjawisko typowe dla okresów przejściowych, kiedy życie polityczne i społeczne ulega zahamowaniu i zwężeniu, że tłumione tak czy inaczej zainteresowania polityczne wyładowują się w lekkiej piosence, we fraszce wesołej, w satyrze.

O powodzeniu tego rodzaju przedsiębiorstwa świadczy fakt, że w tym roku powstało już analogiczne drugie, pod nazwą „Teatr 13 Rzędów", w górnej salce Café Club'u. Gdy dla „Cyrulika" piszą głównie Tuwim i Hemar, tutaj dostarczają tekstów młodzi, bardzo zdolni poeci: Światopełk, Karpiński i Janusz Minkiewicz. Feralna 13-stka zdaje się nowemu teatrzykowi przyświecać, jako godło, bo nietylko tkwi w nazwie „Teatr *13* Rzędów', ale i w pierwszym programie, który składał się z 13 obrazów. Poza uroczą Mirą Zimińską, bohaterką wieczoru, — popisuje się tu głównie Lawiński.

Wykonawcy, solo i chórem, śpiewają wesoło sami o swojem przedsięwzięciu:

Poco aż trzynaście rzędów,
By wyśmiewać jeden rząd?
Ile rz-ę-dów, tyle błędów,
I co rząd, to nowy błąd...

A o popularnym coraz bardziej panu premjerze, na nutę „Lata ptaszek po ulicy":

„Lata Sławoj po stolicy,
Bada ceny polędwicy..."

— By skończyć melancholijnem nieco pytaniem:

„A gdy się ustalą ceny jaj
Czy wtedy już będzie w Polsce raj?"

Przyznać trzeba z uznaniem, że p. premjer ze sporą dozą taktownej pobłażliwości traktuje tę swoją rosnącą popularność, dzięki czemu żyje jeszcze w Polsce trochę humoru.

Cenzura natomiast bywa mniej pobłażliwa, skąd wynika dość duża czasem trudność lawirowania między tem, co się podoba publiczności, a tem, co się nie podoba panu cenzorowi. Najniepotrzebniej!... Kto wie, czy postawa tolerancyjna p. premjera nie jest właśnie z cenzuralnego punktu widzenia najrozumniejsza? „Obywatele", smutni, zgryźliwi i rozgoryczeni nieraz przez cały dzień, miewają ponure, złe, buntownicze nawet, nastroje i myśli. Wieczorkiem zaś w takim teatrzyku wyładują swoje „kompleksy" w dowcipkach, okłaskach, śmiechu, — poczem, ulżywszy tak sobie, idą do domu, weseli jak szczygły, i śpią, jak susły, snem sprawiedliwych. Ta odrobina humoru działa prawie, jak piorunochron, albo jak klapa bezpieczeństwa. Co za sens ją zamykać, czy choćby tylko przymykać! Przecież to jest właśnie realizacja haseł: Kraft durch Freude, radosna twórczość, i jak to się tam jeszcze nazywa... Pracują, płacą, śmieją się, śpią. A więc nie „grzeszą", nie mają kiedy. Ideał! Zarazem wymarzona nazwa dla legendarnej koncepcji organizacyjnej p. Koca. W inicjałach: P. P. Ś: Polskie Pogotowie Śmiechu. Albo, inaczej: Blok Bezgrzesznych czyli BB. Jest i nawiązanie do dawnych tradycyj, i coś nowego także jest.

Wracając do rzeczy, stwierdzić trzeba, że Teatr 13 Rzędów zdobył sobie z miejsca sympatje publiczności. Obecnie już występuje z nowym programem. *P.*

Muzyka

Hans Sachs i Senta

Na każdej, najstaranniej nawet uprawianej niwie życia społecznego może przypadkowo wyrosnąć niekiedy brzydki, szkodliwy chwast. Cóż więc się dziwić, że na tak zaniedbanym i bezplanowo zagospodarowanym terenie, jak muzyka w Polsce, mającym — jeżeli już będziemy kontynuować porównania rolnicze — wszelkie cechy ugoru, chwasty te plenią się bujnie i okazale.

Niezłe warunki na hodowcę kąkoli i ostu ma Polskie Radjo. Nawiasem mówiąc nie piele swego ogródka nietylko z chwastów muzycznych: przed kilku dniami jeden z prelegentów radjowych wyraził się w swym odczycie, że „idąc ulicami Kalisza uderza nas przedewszystkiem świetny bruk" (to chyba t. zw. popularnie „kocie łby", najlepsze prawdopodobnie do „uderzenia" przechodniów). W dziedzinie zaś nadzoru nad kolejnością nadawania płyt gramofonowych zdarzają się zbyt często niechlujstwa, przykre dla uszu słuchacza i dla opinji Polskiego Radja. Przed kilku laty „potasowano" w ten sposób płyty Bachowskiej Mszy h-moll, w ubiegłym miesiącu zrobiono coctail z podwójnego koncertu skrzypcowego, również Bacha. A ileż takich nieporządków przechodzi nieusłyszanych, lub też usłyszanych, ale niewyciągniętych na światło dzienne? Ciekawem jest jednak, jaką odpowiedzialność w analogicznych wypadkach ponosi osoba, nakładająca płyty, osoba, która nietylko dała dowody braku muzykalności, braku inteligencji i braku elementarnej obowiązkowości, ale w dodatku popełniła przekroczenie, równe w innej dziedzinie pracy winie dróżnika, kierującego pociąg na zły tor przez fałszywe nastawienie zwrotnicy. A może kontrolerzy radjowi nie słuchają audycyj płytowych, pewni, że Menuchim i Heifetz zagrają i bez aprobaty doskonale?

Drugim gatunkiem gleby, bardzo podatnej do chwastów, jest nasza krytyka muzyczna. Pomijamy już nawet kwestje formy, począwszy od niedołęgostw stylistycznych, których nie darowanoby uczniowi pierwszej klasy gimnazjalnej, aż po dziwolągi, których napuszone słowa zaciemniają całkowicie treść recenzji. Gorzej jest wówczas, gdy treść zaczyna być w konflikcie z obowiązującym poziomem. Ktoś pisze, że koncert skrzypcowy Bethovena może zainteresować jedynie w bardzo dobrem wykonaniu — podczas, gdy, rozsądnie rozumując, należałoby dojść do wniosku, że właśnie dzieła o małej wartości muzycznej są znośne, czy może nawet ciekawe tylko w wyjątkowo świetnej interpretacji. Ktoś inny pisze z poufałym lekceważeniem o „prymitywiźmie „Halki". Przed kilku zaś dniami w jednym z dzienników ukazało się sprawozdanie z berlińskiej premjery „Halki". Sprawozdanie, ujęte, jak się zaraz okaże, bardzo „szeroko", zawiera m. in. taki passus:

„I tak się to dzieje, że starsza od Wagnera opera Verdi'ego ściąga do sal tłumy, podczas, gdy heroiczny łoskot wagnerowskich oper nie budzi tego spontanicznego ciągu do opery. Albowiem wydaje się, że styl wagnerowski minął i — poza takiemi operami, jak „Meistersinger von Nürnberg", czy „Der fliegende Holländer" — nie da się go odnowić, by współbrzmiał z naszemi czasami. W sztuce odpada zczasem wszystko to, co nie wyrosło jako konieczność, zrodzone z natchnienia i krwi".

Gust autora sprawozdania, preferujący Rigoletto ponad Tristana, jest tu okolicznością najmniej wartą zaakcentowania. Gorsze już jest dość ryzykowne, a z wielką pewnością siebie wygłoszone twierdzenie, że muzyka Wagnera niema nic wspólnego z natchnieniem. Natomiast nonszalanckie zestawienie „Śpiewaków Norymberskich" z „Holendrem", łaskawe wyróżnienie przez sprawozdawcę spośród jedenastu granych na świecie oper Wagnera właśnie tych dwu, krańcowo różnych epoką powstania, gatunkiem treści muzycznej (i dramatycznej zresztą także), może wywołać jedynie szczery śmiech. Ale sprawozdanie z berlińskiej „Halki" to nie jest taka sobie zwykła wewnętrzna recenzja, którą przeczyta tylko garstka polskich muzyków. To już wyczyn o charakterze niemal reprezentacyjnym. Niemcy zainteresują się niewątpliwie oddźwiękami, jakie wywołało wystawienie polskiej opery na scenie Berlina; przeczytają powyższe sprawozdanie i dowiedzą się, że muzykę Wagnera oceniamy, jako nudny, przebrzmiały „łoskot". A potem zobaczą zabawne zestawienie „Śpiewaków" z „Holendrem" i uśmiechną się z tego skojarzenia Senty z Hansem Sachsem, ale uśmiechną z politowaniem. *bon.*

Przegląd Prasy Krajowej

SEJM.

Zanotowaliśmy w poprzednim numerze „Odnowy” — z obowiązku informacyjnego — fakt zwołania sejmu na zwyczajną sesję budżetową. Fakt ten, zazwyczaj w życiu praworządnego społeczeństwa doniosły, nie budzi w Polsce szczególniejszego zainteresowania. Z ogromnej większości prasy przebija obojętność, jeżeli nie lekceważenie. Oto pisze „Warszawski Dziennik Narodowy”:

„Została zwołana zwyczajna sesja Sejmu i Senatu. Czy ten fakt budzi specjalne zainteresowanie opinji publicznej? Czy ta opinja oczekuje jakichś wydarzeń, związanych z obradami Sejmu, nowych faktów, nowych myśli? Zapytajmy o to zwyczajnego „człowieka z ulicy” — okaże się, że on ma większe zmartwienia, niż te obrady. Możnaby nad tem ubolewać, z ogólnego stanowiska, że niektóre instytucje państwowe pozostają w tak wysokim stopniu na uboczu naszego życia politycznego; my jednak nie mamy specjalnego powodu, by się tem przejmować”.

Dlaczego? Wiemy. A wiemy napewno nie to, co jako przyczyną podaje „Kurjer Polski”:

„Fakt, że sejm obecny nie cieszy się popularnością, tłomaczy się w niemałym stopniu tem, że ma on opinję dziecka biurokracji. Niepopularność rodziców przeniosła się na syna... Społeczeństwo, a nie biurokracja, musi mieć w sejmie swego stronnika”.

Niektórzy „swoi” także rzucają czarną gałkę P. Cat-Mackiewicz, uciekając przed Wileńską cenzurą na gościnne łamy „Czasu”, krótko, a bardzo dosadnie charakteryzuje dotychczasową działalność poselską:

„Stosunek rządu do p.p. posłów nie powinien być tak na „padnij i spocznij”, na „uchwał pełnomocnictwa”, „wystrzegaj się podsłuchu” — jaki był za czasów ubiegłej sesji”.

Łagodniej sądzi naszą reprezentację „Dziennik Bydgoski”:

„Pierwsze posiedzenie sejmu budzi zaciekawienie, co powie premjer na temat sytuacji politycznej kraju.. Pozatem odbędą się przed świętami jeszcze dwa posiedzenia, a później rozpoczną się prace budżetowe. Prace Sejmu pójdą starym, utartym już szlakiem, a życie kraju i bolączki jego obywateli pójdą swemi drogami i nie przedostaną się na salę obrad. Sejm posłusznie przegłosuje wszelkie przedłożenia rządowe i na tem zakończy się jego rola”.

Są też optymiści. Naprzód, jak w Depeszy, ostrożni:

„Zanim zaprzątniemy się poczynaniami ciał z ulicy Wiejskiej, które, jak to się mówi, chcą się „odegrać”...”

Potem — przewidujący. Ci spodziewają się sensacyjnych wniosków: o zniesieniu djet (kilkakrotnie zaprzeczono!), wysoko inspirowany o zniesieniu Berezy, o... i t. d. Takich optymistów reprezentuje „Kurjer Bydgoski”:

„Naogół przewiduje się, że przebieg tegorocznej sesji sejmowej będzie gorący. Wielu posłów przygotowuje się do ostrych wystąpień. Gen. Żeligowski i ks. Lubelski również nie będą grzeszyli milczeniem. Szereg posłów zapowiada wniesienie interpelacyj. Tak to z trybuny sejmowej popłynie wieść o niejednem w kraju wydarzeniu, o którem prasa ze zrozumiałych powodów musiała milczeć”.

Kombinacje personalne snuje „Gazeta Grudziądzka”:

„W kołach parlamentarnych krąży pogłoska, że poseł gen Żeligowski nosi się z zamiarem złożenia mandatu poselskiego. Uczynić to ma na znak protestu przeciw dotychczasowemu stosunkowi rządu do sejmu”.

Głosem natomiast zasadniczej negacji — z pewnością nie odosobnionym — jest głos „Obrony Ludu”, która zamieszcza wezwanie de wszystkich swych placówek organizacyjnych, celem podejmowania uchwał za rozpisaniem nowych wyborów na podstawie demokratycznej ordynacji wyborczej.

NIEPRZYJĘTA OFERTA.

Oferta p. Lechnickiego na fotel rolnictwa i reform rolnych — wciąż jeszcze, pomimo niezmordowanych ataków „Czasu” i Sp., mocno zajęty — nie uzyskała „dobrej prasy”. Dr. L. Caro zamieścił w „Kurjerze Porannym“ wcale przejrzyste aluzje:

„Nieszczęsna ta polityka, szerzona przez utalentowanych dyletantów, jak i przez pozbawionych wszelkiego talentu i daru orjentacji fachowców, musiała się skończyć fatalnie”...

Zupełnie już wyraźnie podchwytuje temat „Depesza”:

„Dyletantyzm, albo niezakwalifikwana w inne nieodzowne walory fachowość, powołane na urząd, wykreślają przedewszystkiem dziarskie linje podziału i zabierają się w ich obrębie do roboty. Jeden natęża się nad upaństwowieniem przemysłu, ten zaciska, tamten popuszcza pasa, poniektóry wznosi całe dzielnice, ktoś inny zamyka je parkanem i macha na pomysł ręką”...

Reasumuje St. Rymar w „Głosie Lubelskim”:

„Gospodarka państwa naszego ciągle jeszcze nie może wybrać właściwej drogi. Droga jedynie właściwa musi określić jasno, ściśle, dokładnie, co robi, za co jest odpowiedzialny: rząd, samorząd, organizacje społeczne”.

KONSERWATYŚCI I MINISTROWIE.

Od pewnego czasu ustały w organach konserwatystów ataki na vicepremjera Kwiatkowskiego. Stwierdza ten fakt „Nowy Kurjer”.

„Stosunek konserwatystów do p. vicepremjera jest nadal krytyczny, lecz poprawny, dużo lepszy, niż przed rokiem. Natomiast nie ulega wątpliwości, że konserwatyści wytoczą w sejmie i senacie przeciwko znienawidzonemu ministrowi reform wszystkie „grube Berty”. Lansują już swego kandydata na ministra rolnictwa, senatora Bnińskiego”.

Osobą vicepremjera zajmuje się w cytowanym już artykule „Depesza”:

„Stale twierdzimy, że p. vicepremjer Kwiatkowski, jeżeli *naprawdę* chce zmienić dotychczasową atmosferę i zamierza dążyć do radykalnej zmiany dotychczasowego nastawienia, wysoce szkodliwej i nieprzemyślanej gospodarki lat ubiegłych — winien oprzeć się na nowych ludziach, na nowych siłach i na nowem zaufaniu”.

Pan viceminister ma możności wielkie. Ma pełne zaufanie najwyższych czynników państwowych — na Zamku, ma zrozumienie u najmądrzejszych czynników duchowych — na Świętojańskiej. Nie ma tylko... swoich ludzi...

Ma natomiast przed sobą olbrzymie zadanie. Określa je bliżej, w artykule p. t. „Polska nie ma czasu na mały plan”. „Wieczór Warszawski”:

„O uprzemysłowienie kraju i pośpiech w realizowaniu tej doniosłej sprawy woła (obok obrony Państwa) niemniej gromkim głosem masa bezrobotnych i półbezrobotnych...

Nie łudźmy się! Tych wielkich, a decydujących o bycie narodowym, zagadnień nie da się rozwiązać małym planem inwestycyjnym, odmierzonym podług wpływów skarbowych, zasobów oszczędnościowych i obrotów gospodarczych. Z miarką do badania stanu produkcji i z lupą do liczenia pieniędzy...

Nie mały więc, a wielki plan inwestycyjny potrzebny jest Polsce. Nie małą, a wielką Gdynię budował minister Kwiatkowski. Niech więc potężne ośrodki przemysłowe, a nie małe fabryczki tworzy w Polsce, abyśmy zyskali zdolność do obrony i zatrudnienia młodych pokoleń”.

O IDEOLOGJĘ.

Od niedawna, pod wpływem luki ideologicznej, zaczęło wychodzić kilka nowych pism, które „Warszawski Dziennik Narodowy” nazywa „apostołami zgody”. Pisze:

„Wyjścia dziś szukać nie można jeszcze na drodze kompromisu czyli „zgody narodowej”, może ono być tylko wynikiem zwycięstwa jednej ze stron walczących”.

Na to „Zielony Sztandar”:

„Walka polityczna, tocząca się dziś w Polsce, nie jest tylko walką o zdobycze gospodarcze, o prawa praktyczne, ale jest również walką o wydobycie na wierzch i rozwinięcie dodatnich, jasnych sił społeczeństwa, przeciw temu wszystkiemu, co życie duchowe narodu dławi i ściąga na padoły w błoto”.

A „Podbipięta“:

„Położenie dzisiejsze Polski wymaga myśli odważnej i samodzielnej, ażeby je — zgodnie z potrzebami chwili dziejowej — ująć i zrozumieć. Z drugiej strony spoistość narodu nie straci na tym, ale zyska, gdy „lojalności grupowe” mniej przeszkadzać będą w swobodnej wymianie zdań między Polakami, gdy oświadczenia przedstawicieli różnych kierunków mniej przypominać będą deklaracje dyplomatyczne reprezentantów obcych i wrogich sobie nawzajem potencyj”.

DYREKCJA NIE WIEDZIAŁA...

Głośna sprawa sprzedaży obrazów z kościoła św. Katarzyny w Krakowie wywołała istną wojnę w sferach konserwatorskich Warszawy i Krakowa. Zauważa „Jutro Pracy”:

„Jad nienawiści ku stolicy państwa, szerzony przez osławionych wydawców „Wróbli” i „detektywów” dotarł już i w regjony poważniejsze”.

A zawiniła biurokracja. „Głos Narodu” przytacza charakterystyczny punkt protokółu zebrania wydziału Towarzystwa Miłośników Krakowa:

„Dyrekcja Muzeum Narodowego w Krakowie *nie wiedziała* nic o zamiarze sprzedania obrazów przez O. O. Augustjanów, a p. Stieglitz zaofiarował je Dyrekcji Muzeum Narodowego w Krakowie dopiero wtedy, kiedy je już był kupił dla Muzeum Narodowego w Warszawie i kiedy cała sprawa stała się głośną”.

Mniejsza o spór — w gruncie rzeczy jałowy — dwóch ośrodków kultury polskiej. Ale jest fakt, że „Dyrekcja nie wiedziała”... Właśnie o to chodzi. Tak, jak zapewne nie wie i o tem, że w jednej z antykwarni warszawskich wystawiono na sprzedaż krzesła renesansowo, pochodzące z dawnego Wawelu... Widocznie zastygła w marazmie biurokratycznym, bo przecież inaczej — ona wiedziałaby pierwsza...

A. W.

Książki nadesłane

Wincenty Lutosławski. Jak rośnie dobrobyt. (Zarys polskiej teorji gospodarstwa narodowego). Kraków 1936.

„W człowieku mamy nieskończoną treść ducha, nieskończoną rozmaitość form ciała i wskutek tego daleko większą spostrzegamy nierówność między poszczególnymi ludźmi, niż między zwierzętami, roślinami lub kamieniami.

Nierówność ludzi budzi ujemne uczucia w tych, co siebie uważają za upośledzonych i zazdroszczą uprzywilejowanym. Stąd ciągłe porywy do wyrównania mienia, walki społeczne między tymi, co mają mniej, a tymi, co mają więcej, i marzenia o równości osiągalnej przez zaprzeczenie, naruszenie lub pogwałcenie prawa własności”.

Dr. E. Müller. Błędy gospodarki polskiej. Tłum. M. Iwanowski. Wydanie II. Lwów 1936.

„Spotkałem obcokrajowca, który, świetnie znając stosunki polskie, skreślił książkę o polskiej gospodarce. Trafność sądu, siła argumentacji, jasność myśli, zręczne podejście do tematu, lojalna szczypta sarkazmu, spokój i objektywność — oto główne cechy tej pracy”. (Z przedmowy tłumacza).

A. Z.

Z prasy Zagranicznej

UKŁADY Z JAPONJĄ.

Krótki, nieledwie tygodniowy dopiero jest żywot porozumienia niemiecko - japońskiego; a już prasa całego świata podnosi alarmy, że znaczy ono o wiele więcej, niż się to pierwotnie wydawało. I nic nie pomoże, że jeszcze teraz Le Matin zupełnie nie rozumie doniosłości tego, co nieoczekiwanie zaszło:

„Układ niemiecko - japoński nie sprzeciwia się żadnemu z paktów istniejących i nie narusza w niczem żadnej konwencji Ligi Narodów. Dziwne jest wobec tego zaniepokojenie, jakie wywołał np. w Anglji".

Nie trudno znaleźć w prasie odpowiedź: już p. Tabouis w L'Oeuvre nieznacznem anegdotycznem pociągnięciem daje dużo do myślenia:

„Wieczorem w dniu, w którym podpisano umowę niemiecko - japońską, jeden z najwybitniejszych dyplomatów zagranicznych zapytał ministra v. Neuratha, dlaczego to nie on, lecz ambasador Ribbentropp podpisał ten akt. Minister nic na to nie odpowiedział, lecz, przyjrzawszy się dość długo pytającemu, lekko się uśmiechnął".

W pismach polskich zwrócono — po raz pierwszy — uwagę na brzmienie paragrafu 2 tej umowy, który może dać pretekst Niemcom do ingerencji w sprawy wewnętrzne państw, odmawiających zaproszeniu do udziału w pakcie. Na inne, a równie niebezpieczne możliwości zwraca uwagę Journal des Débats, przeprowadzając w artykule wstępnym zestawienie liczbowe połączonych sił morskich niemiecko-japońskich:

„Rozumiemy więc kłopoty Administracji, zaznaczając, że są to i nasze kłopoty. Jest to także przyczyna, dla której, jeśli my się nie możemy obejść bez Anglii, to i ona, dla obrony swego imperjum, oprzeć się musi na flocie morskiej i powietrznej i na bazach wojskowych fransuckich, od Pas de Calais po zatokę Haiphongu".

Nietylko Francja i Anglja wyczuwają nową sytuację. Prager Presse przynosi wiadomość z kół urzędowych waszyngtońskich, że i tam nagłe wzmocnienie „sąsiada" — przez ocean — którego ekspansję zdawna Stany Zjednoczone odczuwają, wywołało żywy oddźwięk:

„Układ włosko - japoński, dotyczący uznania Mandżurji i Abisynji, bynajmniej nie jest pożądany, ponieważ zbliża dwa kraje, które mają politykę imperjalistyczną. Stany Zjednoczone nie mogą na to patrzeć obojętnie, ponieważ tego rodzaju posunięcia sprzeciwiają się zasadom ich polityki. Powstała sytuacja drażliwa, należy się bowiem obawiać, że wystąpią teraz kraje, które się czują zagrożone akcją bloku imperjalistycznego".

Nie ocenia natomiast sytuacji pesymistycznie Le Journal:

„Niemcy zdają sobie sprawę, że dyplomatycznie ich sytuacja się nie polepszyła, pomimo porozumienia z Włochami i Japonją. Prawdopodobnie skonstatowanie tego faktu jest przyczyną ich złego humoru, niewystarczalności ich argumentacji, jak również pewnej nerwowości w obecnej chwili".

MOWY MIN. EDENA.

Minister Eden wygłosił ostatnio dwie mowy, w których wyjątkowo wyraźnie zaznaczył stanowisko Anglji w chwili obecnej. Zwłaszcza mowa, wygłoszona przed wyborcami w Leamington, wywołała wiele komentarzy. Yorkshire Post pisze:

„Brytyjski minister spraw zagranicznych nigdyby nie użył tak mocnych słów, gdyby nie miał wrażenia, że takie ostrzeżenie było nieodzownie potrzebne. Należy się spodziewać, że zagranica zrozumie całą doniosłość mowy min. Edena, zwłaszcza tam, gdzie mogłyby być jeszcze jakieś iluzje co do stanowiska Anglji".

Zrozumiano?!

Owszem, zrozumiano i w Berlinie. Wypowiada się Berliner Tagblatt:

„Mowa Edena przed wyborcami w Leamington stawia jasno kwestję, że Anglja postanowiła iść razem z Francją na wypadek, jeżeli wzajemny układ gwarancyjny z włączeniem Niemiec, a więc nowy pakt zachodni, nie dojdzie do skutku".

Były minister Plandin, który niedawno powrócił z dłuższego pobytu w Anglji, tłumaczy w L'Intrasigeant motywy ostrego wystąpienia ministra Edena:

„Angielska opinja publiczna zdaje sobie doskonale sprawę z niebezpieczeństwa wojny w Europie. Anglja chce uniknąć wybuchu wojny podobnej, jak w r. 1914, a minister Eden obawia się popaść w ten sam błąd, w jaki wówczas popadł Sir Edward Grey, któremu zarzucono, że nie ogłosił w porę stanowiska Anglji".

ROZMOWY WARSZAWSKIE.

Ożywienie sojuszu polsko - rumuńskiego wywołało żywe zadowolenie przedewszystkiem we Francji. Le Temps pisze:

„Deklaracja obu ministrów spraw zagranicznych (Becka i Antonescu) jest zatem solennem potwierdzeniem sojuszu polsko - rumuńskiego, z wybitnie podkreślonym celem dalszego jego rozwijania na terenie życia praktycznego, kulturalnego i ekonomicznego, i dostosowania go do zainteresowań obu krajów oraz do nakazów chwili obecnej.

Jest w tem szczęśliwa obietnica nietylko rozwoju stosunków polsko - rumuńskich, ale także zorganizowana polityka szczerej współpracy w Europie środkowej i wschodniej, na podstawach, nie zagrażających żadnemu mocarstwu ani żadnej grupie mocarstw".

O treści rozmów mówi Daily Herald:

„Ministrowie Beck i Antonescu zdecydowali nie zgodzić się na przemarsz wojsk niemieckich przez terytorja rumuńskie i polskie w wypadku wojny niemiecko - sowieckiej. Na tem samem posiedzeniu postanowiono, że ani Polska, ani Rumunja nie przystąpią do paktu antykomunistycznego. Oba narody podzielają pogląd rządu brytyjskiego, według którego pakt ten stanowi groźbę dla europejskiego pokoju. Te decyzje zmuszają gen. Blomberga do porzucenia tajnych planów ekspansji w Europie wschodniej, których wypracowanie trwało 3 lata".

Prasa rumuńska odniosła się do wizyty swego ministra spraw zagranicznych w Warszawie życzliwie i szczerze: urzędowy Viitorul donosi:

„Minister rumuński zetknął się z prawdziwie braterską życzliwością ze strony ministra polskiego".

Adeverul (Prawda):

„Warszawa przyswoiła sobie cele polityki zagranicznej rumuńskiej, wskutek czego Rumunja znalazła w Polsce cennego przyjaciela".

A francuska L'Indépendance Roumaine:

„Nietykalność granic oraz pokojowa, konstruktywna polityka, oto podstawy współpracy obu krajów".

Znamienną uwagę robi Germania:

„Jeżeli w rozmowach warszawskich, jak to się podkreśla, doszło do większego zacieśnienia węzłów, łączących Polskę i Rumunję, niż to było w latach poprzednich, to należy fakt ten w pierwszym rzędzie przypisać temu, że z ustąpieniem ministra Titulescu polityka zagraniczna rumuńska zaczęła oddalać się od kursu filosowieckiego, jaki jej Titulescu wyznaczył i tak długo ją nim prowadził".

LEGALIZACJA?

Powstańcy hiszpańscy zabiegali oddawna o uznanie ich na stronę wojującą, co ma duże znaczenie w stosunkach międzynarodowych. Po przejściowem uciszeniu obecnie sprawa ta wypłynęła znowu na szpalty Journal de Genève:

„Anglja, wierna swym tradycjom, ma zamiar uznać gen. Franco za stronę prowadzącą wojnę, nie uznając go jednak za legalnego szefa państwa hiszpańskiego. Akt taki byłby zupełnie zgodny z prawem i zwyczajem międzynarodowym. Byłoby to stwierdzenie faktu, zezwalające temu, kto posiada siłę morską, na wykonywanie prawa wyjazdu na wody pozaterytorjalne. Uznając obie strony za prowadzące wojnę, Londyn prowadziłby logicznie swą politykę neutralności, a jednocześnie zmusiłby Sowiety do szanowania paktu nieinterwencji".

NOWA KONSTYTUCJA SOWIECKA.

Jak sprzeczne bywają poglądy na jedną i tę samą rzecz, dowodzą przytoczone poniżej dwa wyjątki, dotyczące nowej konstytucji sowieckiej:

Moskiewska Prawda pisze:

„Nasza nowa konstytucja, to druzgocące uderzenie, wymierzone przeciw faszyzmowi. Jest to oręż bezcenny w rękach braterskich partyj komunistycznych, w walce przeciwko szkalowaniu systemu sowieckiego".

A na to Revue de Paris:

„Wielka odpowiedź" Stalina faszyzmowi jest faszyzacją ustroju sowieckiego".

POLONICA.

Le Temps i Prager Presse powtarzają artykuł Gazety Polskiej jako

„pierwszą enuncjację kół miarodajnych, że w pakcie niemiecko - japońskim Polska udziału brać nie będzie bez względu na to, czy jest akt antykomunistyczny, czy też antysowiecki".

La Journée Industrielle zamieszcza artykuł pod tytułem: „Kryzys przemysłu górniczego w Polsce". Po przytoczeniu szeregu cyfr, które spotykaliśmy w publikacjach polskich ostatniej doby, pismo kończy:

„Rząd ma przedłożyć żądanie robotników (o sześciogodzinny dzień pracy) sejmowi. W kolach politycznych polskich nikt nie wątpi, że żądanie robotników będzie odrzucone, wobec czego należy się liczyć znowu z groźbą strajku w polskim przemyśle węglowym".

Azet.

OD ADMINISTRACJI.

Upraszamy wszystkich prenumeratorów i odbiorcow komisyjnych Odnowy o pośpieszne zawiadomienie administracji w razie nieodebrania numeru.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O. Nr. 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1.50; zagranicą zł. 2.— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; ½ str. — zł. 125.—; ¼ str. — zł. 75.—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. **WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA", SP. Z OGR. ODP.**

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Nowy-Świat 54. Tel.: 615-56 i 242-40.